80 LAT SOBOTA-NIEDZIELA UKAZUJE SIĘ OD 1945

21-22 czerwca 2025 NR 143 (18234)

Sport

STADION ŚLĄSKI

Ronaldinho SHOW

Gwiazdy ze świata i Po

W sobotę na Stadionie Śląskim czarować na boisku będzie nie tylko Ronaldinho.


Fot. Sam Navarro-USA TODAY Sports/SIPA USA / Press Focus

Pomimo upływu lat Ronaldinho wciąż z uśmiechem biega za piłką.

W sobotni wieczór na Stadionie Śląskim odbędzie się niepowtarzalne widowisko. Ronaldinho, gwiazda futbolu pierwszej dekady XXI wieku, przyjeżdża do Polski, żeby rozegrać towarzyski mecz. Były piłkarz PSG, Barcelony i Milanu przyleciał do naszego kraju w czwartek wieczorem, po raz pierwszy pojawiając się nad Wisłą. W sobotę w Chorzowie nie będzie jednak odpoczywał – rozegra mecz w ramach trasy Jogo dos Famosos (w luźnym tłumaczeniu z portugalskiego – Mecz Gwiazd). To impreza, która odbywa się w wielu krajach na całym świecie. Ronaldinho z innymi byłymi brazylijskimi zawodnikami odwiedził już Urugwaj, Hiszpanię, Francję i oczywiście swoją ojczyznę, a w planie są mecze w kolejnych miejscach. Wszystko po to, żeby kibice znów mogli zobaczyć na boisku wielkiego piłkarza, który czarował swoimi nieprawdopodobnymi umiejętnościami, gdy był piłkarzem Blaugrany.

Piłkarskie bożyszcze

Impreza nosi nazwę Ronaldinho Show, więc oczywiście to właśnie 45-latek będzie głównym bohaterem widowiska. To właśnie dzięki jego obecności na Stadionie Śląskim pojawi się ponad 50 tysięcy ludzi. To jego postać wzbudza emocje u tych starszych, ale też u młodszych, którzy wychowywali się w czasach, gdy on rządził i dzielił na europejskich boiskach. Niektórzy mogą tego nie pamiętać, ale do 2008 roku niewielu chciało grać na boisku jak Leo Messi czy Cristiano Ronaldo. Każdy w podwórkowych meczach chciał być jak wielki Ronaldinho. Nie dziwi więc ogromne zainteresowanie wydarzeniem. Jednak organizatorzy zrobili wiele, żeby całość nie ograniczyła się tylko i wyłącznie do podziwiania brazylijskiego bożyszcza.


Fot. Łukasz Laskowski / Press Focus

Tego uśmiechu Rogera Guerreiro polscy kibice nie zapomną.


Fot. CityPress24 / Press Focus

Helton – sie… mistrz Portu…

Gwiazdy z sukcesami

Razem z Ronaldinho zagrają inni fantastyczni zawodnicy sprzed lat. Między słupkami zagości Helton, wieloletni piłkarz FC Porto, z którym związany był od 2005 do 2016 roku. W tym czasie rozegrał 299 meczów w lidze portugalskiej. Wygrywał z tym klubem Ligę Europy i siedmiokrotnie był mistrzem kraju. Następnie w brazylijskim składzie zobaczyć będzie można Maicona, fenomenalnego prawego obrońcę, który zapamiętany zostanie głównie dzięki grze w Interze Mediolan. To z nim w składzie zespół z Lombardii dowodzony przez Jose Mourinho sięgnął po trofeum Ligi Mistrzów w 2010 roku. Na Stadionie Śląskim zagra też Edmilson, były zawodnik Olympique'u Lyon i Barcelony, 39-krotny reprezentant Brazylii. On, tak jak Maicon, w trakcie kariery wygrał Champions League (w 2006 roku z Blaugraną, zagrał w pierwszym składzie w finale przeciwko Arsenalowi). Ponadto w 2002 roku sięgnął po mistrzostwo świata z reprezentacją Luiza Feli-

Brazylijski wirtuoz

Ronaldinho może nie zagościł w eur… zbyt długo, ale odcisnął na nim piętn…

Każdy doskonale zna ten uśmiech i taniec po strzelonym golu, gdy wyciąga przed siebie ręce i zaczyna trząść dłońmi z wyprostowanym kciukiem i małym palcem. Ronaldinho nie da się pomylić z nikim innym. Na boisku grał tak, jak nie grał nikt. Poza boiskiem jego twarz chciały mieć na swoich produktach największe światowe firmy. Był nie tylko fenomenalnym piłkarzem, ale przede wszystkim ikoną, częścią popkultury, która na zawsze pozostanie z tymi, którzy byli świadkami jego gry. Znakomity Brazylijczyk był wirtuozem futbolu.

Z Porto Alegre do Paryża

Urodził się w 1980 roku w Porto Alegre w Brazylii. Jego pierwszym klubem było miejscowe Gremio. Działacze klubu błyskawicznie zorientowali się, że mają do czynienia z nieprawdopodobnie utalentowanym młodzieńcem, który wyglądał tak, jakby urodził się z piłką przy nodze. Grał nie tylko na trawie, ale także w futsal, co później widoczne było w jego występach na dużych boiskach. Jako nastolatek został powołany do pierwszej drużyny Gremio. Już w pierwszym sezonie w dorosłym zespole dotarł do ćwierćfinału Copa Libertadores, grając w każdym spotkaniu. W 1999 roku po raz pierwszy zagrał w reprezentacji Canarinhos w towarzyskim meczu z Łotwą (3:0). W debiucie zaliczył asystę przy golu na 1:0. W 2000 roku stał się gwiazdą brazylijskiej ligi. W 21 meczach zdobył 14 bramek i trzykrotnie asystował. Musiał wzbudzić zainteresowanie europejskich klubów. W 2001 roku zgłosiło się po niego PSG. Francuzi zapłacili za wybitnego Brazylijczyka 5 milionów euro. Zapewne wiedzieli, że w ciągu kilku lat zarobią na nim znacznie więcej. Przeniósł się więc do stolicy Francji, gdzie rozpoczęła się jego europejska kariera.

Mistrz świata

Błyskawicznie stał się czołową postacią PSG, które nie było wtedy potęgą w Ligue 1, ale mimo tego walczyło o podium. W debiutanckim sezonie zagrał w 28 spotkaniach, strzelając 9 bramek i zaliczając 7 asyst. Zagrał z drużyną w Pucharze UEFA, docierając jedynie do 3. rundy. Pokazał się jednak na Starym Kontynencie z tak fenomenalnej strony, że selekcjoner Brazylii Luiz Felipe Scolari nie mógł tego nie zauważyć. Zabrał go na mundial w 2002 roku. W Korei i Japonii Ronaldinho brylował, a Brazylia wygrała turniej. Jego talent zobaczył cały świat. Podczas mistrzostw świata zdobył 2 gole. Nie zagrał tylko w meczu półfinałowym z Turcją, bo w ćwierćfinale zobaczył czerwoną kartkę, oraz w ostatnim meczu grupowym z Kostaryką, gdy Canarinhos mieli już zapewnione wyjście z grupy. Taka ekspozycja na arenie międzynarodowej sprawiła, że PSG zdawało sobie sprawę, że długo nie będzie w stanie utrzymać wybitnego Brazylijczyka u siebie. W Ligue 1 Ronaldinho zagrał kolejny świetny sezon (8 goli, 9 asyst), po czym przeniósł się na szczyt klubowego futbolu, do Barcelony, która kupiła go za ponad 30 milionów euro.

Kluczowy u Rijkaarda

To właśnie z tym klubem Brazylijczyk będzie już na zawsze kojarzony. W Blaugranie przeżywał najlepszy czas w karierze. Regularnie strzelał gole i asystował. Był kluczowym zawodnikiem w wybitnej drużynie Franka Rijkaarda. Jednak jego gra nie ograniczała się tylko do bycia przydatnym piłkarzem. On był gwiazdą. Bawił się z piłką i z rywalami. Mijał ich fenomenalnymi zwodami. Rzadko się mylił, gdy podejmował decyzje o tym, żeby ośmieszyć przeciwnika. Jego ruchy na boisku były niepowtarzalne, a wykonywał je z taką lekkością, jakby były najprostszym zwodem piłkarskim, jaki można wykonać. Niewielu było w stanie go zatrzymać, bo był nieprzewidywalny. Nie do zapomnienia jest jego gol z 1/8 finału Ligi Mistrzów w sezonie 2004/05. Barcelona grała z Chelsea. W pierwszym meczu wygrała 2:1, a drugi rozpoczęła od trzech bramek straty. Ronaldinho starał się samodzielnie poprowadzić Blaugranę do awansu do kolejnej rundy. Najpierw trafił z rzutu karnego, a następnie… wyczarował gola z niczego. Otrzymał piłkę przed polem karnym. Był otoczony kilkoma graczami Chelsea. Wszyscy inni zawodnicy na świecie szukaliby partnera, żeby oddać mu piłkę. Natomiast Ronaldinho zaczął swój taniec w miejscu, po czym uderzył z czuba, trafiając przy słupku. I co z tego, że Chelsea wygrała dwumecz? Wszyscy pamiętają tylko gola wybitnego Brazylijczyka. Zresztą, w 2005 roku został nagrodzony Złotą Piłką, pomimo tego, że z Dumą Katalonii nie zaszedł daleko w LM.

Liga Mistrzów i transfer do Włoch

Na trofeum Champions League i tak się doczekał. W kolejnym sezonie Barcelona pewnie wygrała zmagania. Ronaldinho w tych rozgrywkach zdobył 7 bramek. W finale jego drużyna zagrała z Arsenalem i wygrała 2:1. W lidze nadal

olski




dmiokrotny
ugalii z FC Porto.


Artur Boruc znów założy rękawice...

Fot. Paweł Jaskółka / Press Focus


Brazylijski Santos, a w jego składzie Pele, zagrał na Stadionie Śląskim w środę 25 maja 1960 roku.

pe Scolariego. W ataku zobaczymy natomiast byłego króla strzelców Bundesligi, Grafite, który w 2009 roku poprowadził Wolfsburg do jedynego w historii klubu mistrzostwa kraju. Gwiazd światowego formatu po prostu nie zabraknie.

Jedyny gol na Euro

Organizatorzy wydarzenia zadbali jednak o to, żeby nawet w brazylijskiej drużynie Ronaldinho były polskie akcenty. Dzięki temu w kadrze zespołu Clebera Xaviera (aktualnego szkoleniowca Santosu) znalazł się Roger Guerreiro. Choć w swojej ojczyźnie nie zrobił on zawrotnej karriery, w Polsce jako piłkarz Legii Warszawa otrzymał nasze obywatelstwo i stał się biało-czerwonym reprezentantem. Zagrał z kadrą nawet w mistrzostwach Europy w 2008 roku i był autorem jedynej bramki strzelonej przez kadrę wybrańców Leo Beenhakkera podczas turnieju (1:1 z Austrią). Ponadto wystąpią znani z naszych boisk Brazylijczycy z polskim paszportem: Hernani (były defensor Korony Kielce i Pogoni Szczecin), Hermes (były pomocnik Widzewa Łódź, Korony Kielce i Jagiellonii Białystok, a aktualnie trener Unii Swarzędz) oraz Leandro, który rok temu zakończył karierę piłkarską w Stali Mielec i został dyrektorem sportowym Górnika Łęczna. Ponadto do drużyny został zaproszony Hiszpan Carlitos, który od nadchodzącego sezonu będzie zawodnikiem Wieczystej Kraków.

Polskie gwiazdy

Na trybuny przyciągają kibiców także nazwiska przeciwników zespołu Ronaldinho. Brazylijczycy zmierzą się z byłymi reprezentantami Polski, a zespołowi dowodzić będzie trener Adam Nawałka, niegdyś selekcjoner reprezentacji Polski. Na boisku zobaczymy Jakuba Błaszczykowskiego, Łukasza Piszczka, Macieja Żurawskiego, Tomasza Frankowskiego, Michała Żewłakowa czy Artura Boruca. Każdy z nich napisał ogromną historię reprezentacji Polski w XXI wieku. W sumie wszyscy z zaproszonych (i do tej pory potwierdzonych) zawodników polskiej drużyny rozegrali dla drużyny narodowej 680 spotkań! Nie ma więc przypadku w tym, że możliwość zakupu biletu na towarzyski mecz jest ograniczona do minimum, bo na dzień przed spotkaniem niemal wszystkie wejściówki się wyprzedały.

Czwartek na Wawelu

Ekipa brazylijska doleciała do Polski w czwartkowy poranek, przed Ronaldinho. Zespół Canarinhos został powitany w Krakowie. Brazylijczycy odwiedzili Wawel. Zwiedzali Zamek Królewski, następnie udali się na Rynek, a na koniec wycieczka zawitała na stadion Cracovii. Następnie zawodnicy pojechali już w stronę Chorzowa, gdzie czeka ich mecz przeciwko zespołowi Adama Nawałki.

Kacper Janoszka

opejskim futbolu
no.

utrzymywał fenomenalną formę – 17 goli i 18 asyst. W kolejnych rozgrywkach jeszcze częściej trafiał do siatki, choć przecież nie był typowym snajperem – zdobył 21 bramek. Kluczowy okazał się dla niego sezon 2007/08, podczas którego doznał poważnej kontuzji mięśniowej. Stracił sporą część sezonu. W lidze zagrał tylko w 17 meczach. Zbiegło się to z tworzeniem nowej ery w Barcelonie. Gwiazdą klubu stawał się Lionel Messi, który współpracował w ataku z Thierrym Henrym oraz Samuelem Eto'o. Ronaldinho był już... niepotrzebny. Gdy Milan zaproponował niecałe 25 milionów euro za Brazylijczyka, oddano go do Serie A. I w tym momencie kariera geniusza zaczęła się powoli kończyć. Jasne, w sezonie 2009/10 w Serie A był w stanie zdobyć 12 goli i 18 razy asystować. Nie był to już jednak ten sam


Ronaldinho z łatwością strzelał gole i asystował, gdy grał w Barcelonie.

Ronaldinho, który brylował na murawie. Po niecałych trzech sezonach wrócił do ojczyzny i w Europie niewiele się już o nim mówiło. Grał dla Flamengo, Atletico Mineiro, meksykańskiego Queretaro, później do 2015 roku dla Fluminense. To był jego ostatni futbolowy taniec. Zakończył grę w piłkę, mając 35 lat.

Obfite lata

W sumie więc Ronaldinho w Europie pograł ledwie dekadę. Była ona jednak obfita w sukcesy, a Brazylijczyk prezentował tak kosmiczne umiejętności, że nikt i nic nie jest w stanie wymazać go z pamięci kibiców. Wygrał Ligę Mistrzów, dwa razy był mistrzem Hiszpanii, raz mistrzem Włoch, a z reprezentacją zdobył mistrzostwo świata i triumfował w Copa America w 1999 roku. Wygrał więc niemal wszystkie najważniejsze zmagania. Dlatego do dzisiaj pozostaje fenomenem i nadal budzi ogromne zainteresowanie, co zobaczymy dziś wieczorem na wypełnionym Stadionie Śląskim.

Kacper Janoszka

Ronaldinho jak Pele

Wiosną 1960 roku na Stadionie Śląskim gościł król futbolu Pele.

O tym meczu kibice futbolu dyskutowali przez lata, mimo że nie figuruje w oficjalnych statystykach gier reprezentacji Polski. Rywalem Kadry PZPN, bo po takim szyldem zagrała wtedy nasza drużyna narodowa, była słynna jedenastka brazylijskiego Santosu, która w składzie miała kilku mistrzów świata, a najsilniej na wyobraźnię – także wtedy – działała postać ledwie 19-letniego wówczas Pelego.

W 1958 roku razem z reprezentacją Brazylii zdobył on mistrzostwo świata na turnieju w Szwecji. Mimo że z powodu kontuzji nie mógł tam wystąpić we wszystkich spotkaniach, to i tak strzelił aż sześć goli. Lepszy pod tym względem był tylko król strzelców szwedzkiego mundialu Just Fontaine z 13 trafieniami. Pele jako 17-latek dwa razy trafił między innymi w wygranym 5:2 finale ze Szwecją. W zespole prowadzonym przez legendarnego Vincenta Feolę było wtedy trzech graczy Santosu – oprócz Pelego był to świetny pomocnik Zito i napastnik Pepe. Cała trójka pojawiła się dwa lata później na Górnym Śląsku. W składzie doskonałej brazylijskiej ekipy byli też późniejsi mistrzowie świata z Chile z 1962 roku – obrońca i kapitan zespołu Mauro, Mangalvio czy Couthinho. Była to więc ekipa naszpikowana gwiazdami. Podczas europejsko-afrykańskiego tournée w 1960 roku Santos odwiedził siedem krajów od Polski po Maroko i rozegrał 18 meczów. 15 z nich wygrał, jeden zremisował i dwa przegrał, z Fiorentiną i Barceloną. Najwięcej goli podczas tournée strzelili Pele (24) i Coutinho (20).

– Zagraliśmy z nimi na Stadionie Śląskim, a Santos to wiadomo – klubowa drużyna Pelego. To był jeden z najlepszych zespołów na świecie. Ten mecz z nimi to było wydarzenie, bo wielu chciało go zobaczyć w akcji. Pele? Grał spokojnie i z każdej sytuacji na boisku potrafił wyjść. Nie ulega wątpliwości, że już wtedy, w tak młodym wieku, był znakomitością. Zresztą pokazał to wcześniej na mistrzostwach świata – opowiada Jan Kowalski, uczestnik tamtego spotkania, sam wtedy niewiele starszy niż Pele, bo mający 23 lata.

Santos ograł naszą reprezentację czy Kadrę PZPN, bo pod takim szyldem zagrał nasz zespół prowadzony przez kapitana związkowego Czesława Kruga, 5:2. Pele pokonywał wtedy wyczyniającego cuda w bramce Edwarda Szymkowiaka w 75 i 78 minucie. Dla nas w końcówce do siatki bramkarza Laercio trafiali Eugeniusz Faber i Jan Liberda.

Dwa dni po meczu na Stadionie Śląskim Brazylijczycy rozgromili TSV 1860 Monachium – wówczas lepszy od Bayernu – aż 9:1, a cztery dni później Anderlecht w Brukseli 6:0.

– Czy była okazja do spotkania się potem z zawodnikami zza oceanu? Nie wiem, dlaczego do tego nie doszło. Szkoda, że takiego spotkania, jakiegoś wspólnego obiadu nie było. Zagraliśmy mecz i na tym się skończyło – opowiada Kowalski. Teraz na Stadionie Śląskim, tylko że w nieco innym charakterze niż Pele w 1960 roku, będzie gościł inny brazylijski mistrz świata Ronaldihno.

Michał Zichlarz

Wrócił do domu

Najlepszy obrońca zeszłego sezonu, który właśnie zadebiutował w reprezentacji Polski, zagra w klubie, z którego się wywodzi.

LECH POZNAŃ

Władze Kolejorza po zdobyciu mistrzostwa Polski zapowiedziały, że wzmocnią zespół, tym bardziej że celują w fazę grupową któregoś z europejskich pucharów. I chociaż jest wiele pilniejszych pozycji, na które potrzeba zawodników, to pierwszym ogłoszonym nabytkiem jest środkowy obrońca. Mateusz Skrzypczak został wykupiony z Jagiellonii Białystok i podpisał umowę do 30 czerwca 2029 roku. Dla 24-latka ostatnie tygodnie układają się bardzo pomyślnie. Najpierw tytuł najlepszego obrońcy sezonu w ekstraklasie, następnie debiut w reprezentacji Polski, a teraz powrót do… domu. Skrzypczak to wychowanek Lecha. W tym klubie zdobył złote medale w juniorach młodszych oraz starszych, przyczynił się do awansu rezerw na szczebel centralny, a także wygrał mistrzostwo w sezonie 2021/2022. Nie był on jednak wtedy istotną częścią zespołu.

Następnie przeniósł się do Jagiellonii Białystok, gdzie zyskał cenne minuty, nabrał doświadczenia, zdobył kolejny mistrzowski tytuł i mógł przeżyć piękną pucharową przygodę. Nie ma wątpliwości, że to pod okiem Adriana Siemieńca Skrzypczak rozwinął się na tyle, że Lech zdecydował się zapłacić, chociaż wcześniej oddał go za… darmo. Według mediów obrońca miał kosztować w graniach 800-900 tysięcy euro.



Fot. Mateusz Sobczak / Press Focus

Mateusz Skrzypczak ma nadzieję, że powrót w rodzinne strony zapewni mu kolejne sukcesy.

Przyjście Skrzypczaka do Kolejorza to nie tylko jakość czysto piłkarska, co do której nikt w klubie nie ma wątpliwości, zwłaszcza patrząc na ostatnie dwa sezony, ale też dodany poznański akcent do wielonarodowościowej szatni. Tym bardziej że odszedł wychowany w wielkopolskim Kleczewie Filip Bednarek, który mocno utożsamiał się z klubem. Piotr Rutkowski, właściciel Lecha, wielokrotnie mówił o tym, jak ważne jest, żeby wychowankowie scalali cały zespół i uczyli innych piłkarzy kultury klubu oraz regionu, zwłaszcza zagranicznych zawodników. Sam Skrzypczak nie ukrywa, że powrót do Lecha spełnienie marzeń. – Czuję się bardzo dobrze, jestem podekscytowany i szczęśliwy. Wracam do tego małego chłopca i nie mogę się doczekać, kiedy znowu założę koszulkę Lecha. Wracam do Poznania jako bardziej dojrzały zawodnik. Trzy lata spędzone w Jagiellonii ukształtowały mnie jako człowieka i jako piłkarza. Zebrałem tam dużo cennego doświadczenia. Teraz jestem gotowy, by grać w Kolejorzu – powiedział 24-latek, cytowany przez klubowe media.

Popularny „Skrzypa" będzie miał z kim walczyć o wyjściowy skład. W klubie są bowiem o rok młodszy Alex Douglas oraz doświadczeni Bartosz Salamon i Antonio Milić. Być może szykują się jakieś odejścia. W przypadku Szweda sam agent piłkarza kilka tygodni temu powiedział, że jego podopieczny może przejść do lepszej ligi. W przyszłym roku kontrakt kończy się Salamonowi, który teraz ma 34 lata. W zespole są jeszcze Wojciech Mońka oraz Maksymilian Pingot, ale prawdopodobnie obaj zostaną wypożyczeni.

Miłosz Cebo

Z Barceloną w CV

Nowym graczem beniaminka został hiszpański napastnik Diego Percan.

ARKA GDYNIA

Umowa Diego Percana będzie ważna do końca sezonu 2026/27 z opcją przedłużenia o kolejny rok. Urodzony 13 listopada 2001 roku w Leon zawodnik karierę zaczynał w hiszpańskim Cultural Leonesa. Tam przechodził szczeble juniorskie i trafił do drugiej drużyny. Jego dobre występy zwróciły uwagę sztabu pierwszego zespołu, w którym zadebiutował 12 września 2021 roku w potyczce z rezerwami Athletic Bilbao. Łącznie dla ekipy z trzeciej ligi hiszpańskiej rozegrał 59 meczów, w których zdobył dziewięć goli i zanotował cztery asysty. Trafił do notesów wysłanników Dumy Katalonii, gdzie w lipcu 2023 roku dołączył do zespołu FC Barcelona Atletic. W dwa lata zanotował 32 mecze (sześć goli i dwie asysty) w drugiej drużynie katalońskiego klubu. Wiosną 2024 roku doznał kontuzji, która wyeliminowała go z gry na rok. W drugim meczu po powrocie zdobył gola. To było jego ostatnie spotkanie dla Blaugrany, teraz zamierza trafiać do Arki.



Fot. Piotr Matusewicz / Press Focus

Piłkarze Arki cieszą się, że już rozpoczynają serię sparingów.

Percan jest trzecim nowym nabytkiem beniaminka ekstraklasy w letnim okienku transferowym (dwa inne to Dawid Abramowicz z Puszczy i Sebastian Kerk z Widzewa). Natomiast z drużyny trenera Dawida Szwargi do tej pory odeszło sześciu zawodników – Ołeksandr Azackij przeniósł się do Polonii Bytom, Adrian Jurkiewicz, który grał w rezerwach Żółto-niebieskich, wylądował w ŁKS-ie Łódź, Kasjan Lipkowski został wypożyczony do GKS-u Tychy, Filip Kocaba po okresie wypożyczenia wrócił do Zagłębia Lubin, podobnie Jordan Majchrzak po wypożyczeniu wrócił do Legii Warszawa, zaś Martin Dobrotka zakończył karierę.

W sobotę w samo południe gdynianie rozegrają pierwszy tego lata mecz kontrolny. Ich sparingpartnerem w Gniewinie będzie pierwszoligowy GKS Tychy.

Daniel Bizewski

Regeneracja i do boju!

Polki mają jeszcze matematyczne szanse na grę w półfinale.

ME U-19 KOBIET

Po bolesnej porażce 0:6 z Francją reprezentantki Polski U-19 zagrają w Tarnobrzegu ze Szwecją, która przegrała dwa pierwsze mecze i zamyka tabelę. Czy Biało-czerwone mają jeszcze szanse na awans do fazy pucharowej? Matematycznie tak. Przede wszystkim muszą wygrać ze Szwedkami, najlepiej kilkoma bramkami. Oprócz tego muszą liczyć na to, że Francja pokona Włochy… najlepiej też wysoko. Wówczas Polki zrównają się punktami z ekipą z Półwyspu Apenińskiego i liczyć się będzie bilans bramkowy. Na razie po porażce z Francuzkami Polki są na sześciobramkowym minusie. Z kolei bilans Włoszek wynosi 2:1. Właśnie dlatego rozmiary ewentualnego zwycięstwa Polek i Francuzek w najbliższej kolejce powinny być duże, jeżeli drużyna Marcina Kasprowicza myśli o grze w półfinale.

Żeby mieć w ogóle szanse na pokonanie Szwecji, kadra Polski musi pozbierać się po wstrząsającej przegranej z Francją. Selekcjoner tłumaczył po spotkaniu, że różnica w poziomach obu zespołów polegała na tym, że w reprezentacji Francji grają zawodniczki szybko dojrzewające. Podkreślił walory siłowe i szybkościowe Trójkolorowych. Ponadto przekazał, że bardzo dużo jego podopieczne kosztował mecz z Włoszkami. Polkom dokuczały małe urazy oraz po prostu zmęczenie, przez co trener musiał dokonać kilku zmian w wyjściowej jedenastce. Teraz więc zespół musi się szybko zregenerować i podnieść na duchu. Skoro Włochy wygrały ze Szwecją, Polska też jest w stanie to zrobić!

(kaj)

Sobota, 21 czerwca, godz. 16.00
Grupa A

■ Szwecja – Polska
■ Włochy – Francja

1. Francja	2	6	9:0
2. Włochy	2	4	2:1
3. Polska	2	1	1:7
4. Szwecja	2	0	0:4

1-2 – awans, 3 – baraż o udział w MŚ

Sobota, 21 czerwca, godz. 19.00
Grupa B

■ Hiszpania – Anglia
■ Holandia – Portugalia

1. Portugalia	2	3	4:3
2. Hiszpania	2	3	2:1
3. Holandia	2	3	2:2
4. Anglia	2	3	3:5

1-2 – awans, 3 – baraż o udział w MŚ

Sport 4afc18060c

Głowa nie dojechała

Rozmowa z **Kacprem Kozłowskim**, młodzieżowym reprezentantem Polski, który zaliczył sześć występów w dorosłej kadrze

Na zakończenie młodzieżowego Euro graliście z Francją o honor, ale i tego nie udało się uratować. Dlaczego?

– Każdy wiedział, że Francja jest wymagającym i trudnym rywalem, jak zresztą każdy na tym turnieju. Mimo naszej porażki 1:4 uważam, że było to spotkanie do wygrania. Łapaliśmy kontakt, jedna bramka nie została uznana, nie wiem dlaczego.

Dlaczego strata bramki znowu wywoływała w waszej grze taką panikę? Tak było wcześniej z Portugalią w przegranym 0:5 spotkaniu...

– Z Portugalią wyszliśmy na rywala wysoko i coś próbowaliśmy zrobić. Jeśli chodzi o mnie, to preferuję taki system grania, wolę grać do przodu, atakować, niż się bronić. Jeżeli będziesz się cały czas bronił, to żadnego meczu nie wygrasz, nie można cały czas grać defensywnie. Nic się przez takie granie nie nauczysz.

Z Francją zagraliście dobrze drugą połowę. Patrząc na całość, można było odnieść wrażenie, że widzieliśmy dwa zupełnie inne zespoły. Dlaczego?

– Jeżeli zagralibyśmy dwie takie same połowy, to wynik byłby zupełnie inny. Niestety, tak się nie stało.



Fot. Mateusz Sobczak / Press Focus

Kacper Kozłowski (nr 10) w walce o piłkę z Portugalczykiem Mathiasem De Amorimem.

Gdyby miał pan młodzieżowej reprezentacji wystawić stopień za turniej na Słowacji, to jaka byłaby to ocena w szkolnej skali?

– Nie możemy mówić o pozytywnej ocenie, jeżeli nie wygraliśmy meczu. Nie dałbym nawet trójki, gdzie wielu uczniów średniej jakości cieszyłoby się z takiej oceny. My tak naprawdę poza tymi doświadczeniami, które otrzymali młodsi zawodnicy, to za wiele nie zyskaliśmy.

Czym było spowodowane to, że te mistrzostwa wam aż tak nie wyszły? Całkiem dobre eliminacje, udany mecz z Niemcami. Potem dobre występy w marcu. Remis z ćwierćfinalistą Euro Danią 3:3 i wygrana z Ukrainą 3:2. Co się stało na Słowacji? Nagle jesteście tak słabi, że nie jesteście w stanie nawet zremisować z Gruzją i nawiązać walki z Portugalią i Francją?

– Nie uważam, że jesteśmy tak słabi. Mieliśmy bardzo mocnych rywali. Na dziś Francja, Portugalia, a także Gruzja okazały się mocniejsze. Wiadomo, przyjechaliśmy, żeby wyjść z grupy, myśleliśmy nawet o wyższych celach, ale rywale okazali się lepsi, to było widać i niestety się nie udało.

A może problem tkwi w przygotowaniach, w tym, co robiliście na obozie w Woli Chorzelowskiej przed turniejem na Słowacji? To zawsze problem polskich reprezentacji – przygotować się odpowiednio na mistrzowski turniej...

– Każda reprezentacja ma taki sam problem. Byliśmy na zgrupowaniu raptem 10 dni. Za wiele nie można było zrobić, ale coś już jednak tak. Trzeba było to wszystko odpowiednio wyważyć. Każdy ma tak samo i nie można wszystkiego zganiać na przygotowania. Uważam, że do Euro byliśmy przygotowani dobrze. Zawaliliśmy jako drużyna i to trzeba powiedzieć otwarcie.

Przed turniejem, kiedy rozmawiałem z trenerem Adamem Majewskim, to mówił, że najważniejsza będzie głowa, odpowiednie przygotowanie mentalne. Może tego wam zabrakło?

– Można powiedzieć, że głowa w naszym przypadku nie dojechała. Tak jak pan mówił, z Francją zagraliśmy zupełnie inaczej w drugiej połowie. Gdyby tak grać w każdym spotkaniu, to byłoby inaczej. Na gorąco ciężko wymieniać, z czym było źle. Głowa w tym wszystkim jednak na pewno nie dojechała.

Na dorosłym Euro grał pan przed czterema laty jako 17-latek, stąd to pytanie właśnie do pana. Tutaj gwiazda turnieju Geovany Quenda ma 18 lat, a inny świetny Portugalczyk Roger Fernandes jest o rok starszy. Czemu my nie mamy takich zawodników jak choćby pan przed kilku laty?

– Quenda odchodzi do Chelsea za prawie 50 milionów funtów. Nie przypominam sobie, żebyśmy w całej historii mieli zawodnika, który odszedłby z naszej ligi za takie pieniądze. Tacy piłkarze robią różnicę, w meczu z nami w jednej połowie zdobył dwie bramki, dał asystę. Jeżeli chodzi o reprezentację Portugalii, to mogą na tym turnieju zajść daleko, bo mają jakość.

Jak będzie wyglądał pana okres urlopowy?

- Otrzymałem dwa tygodnie wolnego. Potem wracam do Turcji do Gaziantep.

Rozmawia w Żylinie
Michał Zichlarz

Chce go Trabzon

■ Latem Kacper Kozłowski może zmienić klub. Piłkarzem Gaziantep FK zainteresowany jest Trabzonspor, który oferuje za polskiego pomocnika 3 mln euro. W poprzednim sezonie dla 14. zespołu tureckiej Super Ligi w 29 meczach zdobył 4 bramki i zanotował 5 asyst. Gaziantep zapłaciło Brighton w zeszłym roku za 21-letniego pomocnika zaledwie 200 tys. euro. Anglicy nie zrobili dobrego interesu, bo wcześniej kupili Kozłowskiego z Pogoni za 11 mln euro.

Czas ćwierćfinałów

■ W sobotę i niedzielę na słowackich stadionach odbędą się mecze ćwierćfinałowe. W sobotę w Żylinie Portugalia gra z Holandią (18.00), a w Trnawie hit Hiszpania – Anglia (21.00). W niedzielę w Dunajskiej Tredzie Niemcy zmierzą się z Włochami (21.00), a w Preszowie Dania z Francją (21.00). W półfinałach, w środę 25 czerwca, zagrają ze sobą wygrani z meczów sobotnich w jednej parze i wygrani meczów niedzielnych w drugiej. Finał zostanie rozegrany 28 czerwca w Bratysławie.

Europa w odwrocie

Lionel Messi zapewnił Interowi Miami pierwsze zwycięstwo w grupie.

KLUBOWE MISTRZOSTWA ŚWIATA

Wielu kibiców i ekspertów jeszcze przed rozpoczęciem turnieju kwestionowało sens jego rozgrywania oraz prestiż wydarzenia. Argumentowano przeładowanym kalendarzem oraz domniemaną wyższością europejskich drużyn nad resztą świata. Z tym pierwszym trudno się nie zgodzić, natomiast co do drugiego – starcie FC Porto z Interem Miami w grupie A było kolejnym przykładem, że teoria nie zawsze idzie w parze z praktyką.

Mieliśmy do czynienia z bardzo wyrównanym meczem, który miał wszystko, czego oczekuje się od futbolowego widowiska. Nie zabrakło pięknych goli, walki i emocji – obie drużyny nie kalkulowały i szły na wymianę ciosów.

Trzeba jednak powiedzieć wprost – Porto po raz kolejny zawiodło. Portugalczycy nie są na razie dobrym reprezentantem europejskiej piłki i... są jedną nogą poza turniejem. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja Interu Miami, który pokazał się z bardzo dobrej strony. Obie połowy rozpoczął z animuszem, konsekwentnie atakując i ostatecznie wygrywając.

Nie sposób nie wspomnieć o Leo Messim, bo jego magia, pomimo upływu lat, wciąż działa na rywali. Gol z rzutu wolnego, który dał zwycięstwo Interowi, z miejsca stał się kandydatem do bramki turnieju. Argentyńczyk był aktywny przez całe spotkanie, uczestnicząc w każdej ofensywnej akcji zespołu. Nie wszystko mu wychodziło, ale w najważniejszym momencie pokazał, że wciąż potrafi decydować o wynikach ważnych spotkań.

Jak zaprezentowali się pozostali zawodnicy, którzy w przeszłości grali w Barcelonie? Sergio Busquets zagrał solidnie – w swoim stylu regulował tempo gry i kontrolował sytuację w środku pola, Luis Suarez zdecydowanie odstaje fizycznie – jeszcze bardziej niż u schyłku kariery w Europie. Jordi Alba pojawił się na boisku w końcówce i zaliczył bezbarwną zmianę.

Na słowa pochwały zasługuje za to trener Javier Mascherano, który przygotował skuteczny plan taktyczny. Drużyna go zrealizowała, dzięki czemu można z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że udział Interu w tym turnieju nie skończy się na fazie grupowej.

W grupie B Atletico Madryt zmazało plamę po blamażu i dotkliwej porażce z PSG (0:4). Seattle Sounders to jedyna drużyna, która wszystkie mecze fazy grupowej gra na swoim stadionie, ale ta przewaga nie przekłada się na dobre wyniki. Dwie porażki w dwóch pierwszych meczach przekreślają szansę na awans do fazy pucharowej, ale kibice drużyny z MLS, licznie zgromadzeni na trybunach, absolutnie nie mają powodów do wstydu. Odważna i ofensywna gra, z tak wymagającym rywalem jak Atletico, wymaga nie lada odwagi i za to gospodarzom należy się duży szacunek. Przy odrobinie szczęścia mogli strzelić więcej niż jedną bramkę i powalczyć o korzystny wynik. Jednak jakość piłkarska gości z Madrytu oraz pierwszy w karierze dublet Pablo Barriosa zapewnił Atletico trzy punkty.

W drugim meczu tej grupy nikt się nie spodziewał, że PSG, najlepsza drużyna ostatnich miesięcy w Europie, będzie miała jakiekolwiek problemy z pokonaniem Botafogo, a jednak paryżanie przegrali z Brazylijczykami! Nie tylko wynik jest zaskakujący, ale również gra zwycięzców ostatniej Ligi Mistrzów. Brakowało polotu, dynamiki, skuteczności. Był to niewątpliwie najsłabszy mecz paryżan w ostatnich miesiącach. Wielkie brawa należą się ekipie Botafogo, gdyż zaprezentowała bardzo zwartą i solidną grę w obronie oraz umiała wyjść z groźnym kontratakiem, co dało jej skromne, ale bezcenne zwycięstwo.

Jakub Bargiel

GRUPA A

■ **Inter Miami – FC Porto 2:1 (0:1)**
0:1 - Samu (8, karny), 1:1 - Segovia (47), 2:1 - Messi (54)
■ **Palmeiras – Al-Ahly 2:0 (0:0)**
1:0 - Abou Ali (49, samobójcza), 1:1 - J. M. Lopez (59)

1. Palmeiras	2	4	2:0
2. Inter Miami	2	4	2:1
3. Porto	2	1	1:2
4. Al-Ahly	2	1	0:2

1-2 - awans

GRUPA B

■ **Atletico Madryt - Seattle Sounders 3:1 (1:0)**
1:0 - Barrios (11), 2:0 - Witsel (47), 2:1 - Rusnak (50), 3:1 - Barrios (54)
■ **Botafogo - PSG 1:0 (1:0)**
1:0 - Jesus (36)

1. Botafogo	2	6	3:1
2. PSG	2	3	4:1
3. Atletico	2	3	3:5
4. Sounders	2	0	2:5

1-2 - awans

Sport 4afc18060c

Człowiek pogra

Rozmowa z **Maciejem Sadlokiem**, byłym już obrońcą Ruchu Chorzów, ale też Wisły Kraków i Polonii Warszawa, 15-krotnym reprezentantem Polski

Pytania o przyszłość zazwyczaj pojawiają się na końcu, ale w tym wypadku należy od tego zacząć. Twój kontrakt z Ruchem nie został przedłużony – co dalej?

– Teraz jest trochę odpoczynku, natomiast cały czas trenuję, żeby być „pod prądem". Raczej będę jeszcze grał, odzywają się telefony, ale na razie nie chciałbym zdradzać za wiele. Coś się powoli klaruje na szczeblu centralnym.

Czyli na Pasjonata Dankowice jeszcze za wcześnie.

– Był taki pomysł, ale stwierdziłem, że trzeba coś jeszcze pograć (śmiech).

Wkrótce skończysz 36 lat, więc koniec profesjonalnej kariery już za rogiem. Masz na siebie jakiś pomysł?

– Powoli myślę w tym kierunku. Na razie będę chciał się skupić na graniu, aczkolwiek już coś planuję. Brat dość długo prowadzi szkółkę pod moim patronatem, gdzie czasami również pomagam prowadzić zajęcia dla dzieciaków. Wdrażam się w to i sam również zacząłem zajęcia indywidualne z dziećmi, można powiedzieć takie korepetycje piłkarskie. Pójdę w tę stronę, raczej nie będzie to trenerka z dorosłymi.

Jakie były kulisy odejścia z Ruchu?

– Początkowo byłem dość blisko przedłużenia kontraktu, były rozmowy, ale w pewnym momencie zostały zawieszone. Później nasza runda potoczyła się tak, jak się potoczyła. Była w naszym wykonaniu... nie najlepsza i klub zmienił plan na przebudowę drużyny. Obrał inny kierunek, stąd pożegnanie z niektórymi zawodnikami.

Zabolało cię to? Łukasz Moneta mówił wprost, że liczył na pozostanie w Chorzowie.

– Łukasz jest młodszym zawodnikiem, w tym roku kończy 31 lat, ja mam 36. Jesteśmy na trochę innym etapie przygody z piłką. Powiem szczerze, że nie czułem aż takiego rozczarowania. Przyjąłem to normalnie. Może wzięło się to stąd, że przez ostatnie trzy lata codziennie dojeżdżałem do Chorzowa przez ponad godzinę, bo mam dom w Wilamowicach, w moich stronach. W pewnym momencie to już nie jest takie łatwe, dzień w dzień wsiadać do auta, trenować, zmęczony wracać kolejną godzinę...

Chciałem podsumować twój ostatni, trzeci pobyt w Ruchu. O pierwszy sezon, czyli 2022/23, nie ma co pytać, bo był to niespodziewany awans do ekstraklasy, więc super. Potem jednak spadliście. Od początku mówiło się, że Ruch jest biedny, że nie ma na transfery, że w ogóle powinien się cieszyć, że wrócił na najwyższy szczebel. Można powiedzieć, że automatycznie skazywało się go na spadek od razu po awansie. Czy zgodzisz się z tym, że sezon w ekstraklasie został poniekąd zmarnowany?

– Czy ja wiem? Myślę, że nie. Jednak zrobiliśmy awans, byliśmy w ekstraklasie i każdy z zawodników i trenerów zyskał nowe doświadczenie. Zobaczył, że utrzymanie tam nie jest takie łatwe. W klubie nie było przeświadczenia, że jesteśmy skazani na porażkę, w drużynie również. W wielu meczach walczyliśmy jak równy z równym, bo to nie było też tak, że ciągle ktoś nas lał po 3:0 czy 4:0. Faktem jest, że odnotowaliśmy dużo remisów, a przegrywaliśmy często jedną bramką. Wiadomo, że czegoś zabrakło, może kadra nie była tak silna, by poradzić sobie w ekstraklasie? Uważam jednak, że aż tak źle się nie prezentowaliśmy. Brakowało przede wszystkim zwycięstw. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc wiadomo, że każdy chciał zostać w ekstraklasie i to był nadrzędny cel. Dlaczego mieliśmy tam nie zostać? Nic nie szkodziło, by po prostu powalczyć. Niestety nie udało się, trochę to nas przerosło. W kolejnym sezonie wydawało się, że od razu wrócimy, ale życie pokazuje, że to nie jest takie łatwe. Przykład chociażby Wisły Kraków. W pierwszej rundzie udowodniliśmy, że fajnie gramy i każdy myślał, że awans jest pewny. W piłce jednak tak to nie działa. Druga runda pokazała, że poszło to w złą stronę. Sezon się skończył i klub będzie teraz robił wszystko, by ponownie zaatakować ekstraklasę. Mam nadzieję, że Ruch jak najszybciej tam wróci, ale – jak mówię – to nie jest takie łatwe.



Fot. Marcin Bulanda/ PressFocus

Maciej Sadlok jest na 24. miejscu w liczbie występów w ekstraklasie.

Myślisz, że główny czynnik rzutujący na ten sezon to okres od momentu, gdy spadek z ekstraklasy był już pewny, do pierwszych meczów w I lidze? Dało się słyszeć, że gdy szanse na utrzymanie wynosiły 0,1 procenta, to w klubie wciąż mówiło się o ekstraklasie, a potem na pierwszym treningu było bardzo mało piłkarzy, kadra kompletowała się jeszcze przez wiele tygodni, zmienił się trener... Harmider i chaos miały wpływ na fundament tego sezonu?

– W jakiś sposób na pewno i tego nie da się ukryć. Nie było ciągłości, było dużo zmian, czy to trenerów, czy zawodników. Skończyło się, jak się skończyło. Pamiętam, że jak awansowaliśmy w pierwszym sezonie po moim powrocie, to nie było zbyt wielu zmian. Zespół nie przechodził rewolucji i cały sezon trzymaliśmy dobry poziom. Prawie nie schodziliśmy z pierwszych trzech miejsc. Ciągłość była zachowana, a tutaj dużo działo się rzeczy pozaboiskowych, podczas gdy wszystko musi ze sobą współgrać.

Ruch miał w poprzednim sezonie specyficzny terminarz. Zaczął od prawie samych meczów z topowymi drużynami, po których nastąpił okres gry z tymi, które kończyły za jego plecami. Trener Janusz Niedźwiedź został zwolniony pod koniec tego „trudnego okresu", a sam twierdził, że powinien dostać więcej czasu. Czy też tak uważasz, abstrahując już zupełnie od postaci Dawida Szulczka?

– Tego się już nie dowiemy. Trener został zwolniony, klub chciał zareagować na słaby start i to już nie mnie oceniać. Być może trener by odpalił, ale nie chciałbym się wypowiadać. Trener Szulczek przyszedł i – jak to się mówi – zażarło. Zaczęliśmy seryjnie wygrywać. W tym momencie ta decyzja się obroniła, ale nie wiemy, czy trener Niedźwiedź też by tego nie dokonał.

Potrafisz na chłodno ocenić, co poszło nie tak na wiosnę?

– Trudno to sprecyzować. My sami również nie do końca wiemy, czemu się tak stało. Wydawało się nam, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Skończyliśmy rundę na 4. miejscu, ale wiosną zaczęliśmy punktować tak samo fatalnie, jak na początku jesieni. Poszło to w odwrotną stronę, zaczęliśmy spadać, z tygodnia na tydzień robiło się coraz gorzej. Jak nie było recepty, tak nadal jej nie ma. Również ciężko mi na to odpowiedzieć.

Może zabrakło jakości? Nie mówię, że Ruch miał słaby skład, ale po prostu sześć czy siedem drużyn miało lepszy.

– Mogło tak być. Trzeba to brać pod uwagę. Uważam, że każdy za bardzo już myślał, że mamy ekstraklasę, że gramy w finale Pucharu Polski. Życie to boleśnie zweryfikowało.

Byłeś w kilku chorzowskich szatniach, byłeś w mocnej szatni Wisły Kraków. Czy teraz w szatni Ruchu leżał problem? Chwilę temu sam powiedziałeś, że w klubie wszystko musi ze sobą współgrać.

– Problemu stricte szatniowego nie było.

Może zabrakło liderów?

– Może wszystkiego po trochu. Kadra się zmieniała, zmieniła się specyfika drużyny, bo przyszło więcej piłkarzy z zagranicy. Nie mówię, że w tym leżał problem, broń Boże, ale patrząc na naszą szatnię z poprzedniej I ligi, to w momencie awansu był tylko jeden Czech. Atmosfera była dużo lepsza, ale budują ją przede wszystkim wyniki. Wtedy byliśmy rozpędzeni i gdy jechaliśmy na mecz, wierzyliśmy, że damy radę, choćby przeciskając jedną bramką. Teraz tych meczów nie przeciskaliśmy. To też był problem.

Byłeś w Ruchu trzy razy – Sadlok młody, Sadlok ograny, Sadlok doświadczony. Układasz sobie hierarchię tych pobytów?

– Każdy pobyt w Chorzowie miał swoją historię. Pierwszy był najbardziej obfity w sukcesy, bo dostałem powołanie do reprezentacji, regularnie grałem w ekstraklasie, gdzie zajęliśmy 3. miejsce. To chyba mój najlepszy pobyt. Ten drugi był z kolei okraszony niepryjemną kontuzją, gdzie przez bardzo długi czas nie mogłem wrócić do zdrowia, ale końcówkę wspominam dobrze, bo znowu zajęliśmy 3. miejsce i urodziła się moja córka. Były więc dobre i złe chwile. W tym ostatnim pobycie też były fajne momenty, jak niespodziewany awans do ekstraklasy, który zawsze będę mile wspominał. Chociaż był też niestety spadek. Każdy z tych okresów był różny, ale najbardziej obfity był ten pierwszy.

Czy z perspektywy czasu uważasz, że transfer do Polonii Warszawa, gdzie spędziłeś 1,5 roku, był błędem?

– Nie, bo zyskałem nowe doświadczenia, zmieniłem środowisko, zobaczyłem, jak

Sport 4afc18060c

anicza



Przez długi czas Maciej Sadlok należał do grona liderów Niebieskich.

Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

to jest gdzie indziej. Nie jestem przecież zawodnikiem, który często zmienia kluby i wyrusza w odległe podróże po Polsce. Ruch zyskał na tym spore pieniądze, więc w ten sposób też odwdzięczyłem się za to, co osiągnąłem w Chorzowie, bo to tam zacząłem przygodę z wielką piłką. To było pewne podziękowanie. Uważam więc, że to był dobry ruch, choć nie był nie wiadomo jak udany sportowo. Gdybym jednak miał możliwość, zrobiłbym to jeszcze raz, chociaż... w tamtym momencie nie byłem do końca przekonany. Bardziej skłaniałem się ku temu, że nie chciałem transferu, ale po czasie wydaje mi się, że było to z korzyścią dla wszystkich.

Czy w Polonii nie wyszło ci dlatego, że ekscentryczny właściciel klubu Józef Wojciechowski stwierdził... że go oszukałeś w sprawie swojego zdrowia? Twierdził, że zataiłeś dyskopatię.

– To był okres, w którym byłem młodym zawodnikiem, a obciążenia jak na mój wiek były duże. Jeździłem na reprezentację, grałem w klubie, a mój organizm nie był na tyle silny i ukształtowany, żeby radzić sobie z takimi obciążeniami. A umówmy się, że świadomość zawodników w sprawie dbania o zdrowie wtedy a dzisiaj trochę się różni. Nie wiedziałem wtedy o wielu sprawach. Miałem problemy z plecami, ale nic nie było ukrywane (śmiech). Organizm po prostu tak zareagował na obciążenia – i tyle.

W 2012 roku wróciłeś do Chorzowa, a po dwóch sezonach przeniosłeś się do Wisły Kraków, gdzie załapałeś się na końcówkę ery Bogusława Cupiała. Z gry przy Reymonta mógłbyś napisać niezłą kronikę, bo byłeś świadkiem wielu głośnych wydarzeń, które zakończyły się spadkiem. Co możesz powiedzieć o tym okresie?

– W klubie działo się dużo, nie da się ukryć. Spędziłem tam osiem lat, więc trudno o wszystkim naraz opowiedzieć. Dla Wisły to nie był łatwy okres. Było wiele różnych zawirowań, czy z właścicielami, czy z kibicami, którzy przejmowali klub.

Wisłą zarządzali też gangsterzy.

– Aż tak bardzo się tymi tematami nie interesowałem, po prostu starałem się robić swoje, ale faktycznie momenty były różne. Nie było łatwo, ale zostawiłem tam sporą część życia. Reprezentowałem wielki klub i zawsze będę z tego dumny. Rozegrałem tam mnóstwo meczów i myślę, że to był dobry okres mojej kariery, mimo że nieokraszony żadnymi sukcesami. Żałuję tylko, że skończył się spadkiem. To zawsze będzie zadra na moim sercu.

Czułeś, że to idzie w takim kierunku? Pamiętamy chociażby głośną akcję przejęcia klubu ze słynnym Vanną Ly z przełomu 2018 i 2019 roku.

– W tamtym momencie to była jedna wielka niewiadoma. Panował duży chaos związany z tym panem, który chciał wszystkich oszukać i do pewnego momentu mu to dobrze wychodziło. Wiele osób wierzyło, że to się uda, natomiast wyszło, jak wyszło. Na szczęście nie przejął Wisły, a wszystko uratowała trójka Jarosław Królewski, Tomasz Jażdżyński, Jakub Błaszczykowski. Dobrze, że tak się skończyło.

Wiesz, ile masz meczów w ekstraklasie?

– Chyba 364.

Zgadza się. Czujesz, że osiągnąłeś coś wyjątkowego? Jesteś na 24. miejscu w klasyfikacji wszech czasów razem z Markiem Dziubą, który grał w łódzkich klubach. Parę spotkań i byłbyś jeszcze wyżej.

– Zaczynając grać w piłkę i wchodząc do pierwszej drużyny w Chorzowie, w życiu nie przypuszczałem, że to się tak potoczy. Zawsze marzyłem o grze w ekstraklasie oraz w reprezentacji i spełniłem oba marzenia z dzieciństwa. Uważam, że to nie jest mała liczba. Więc tak – jestem z tego dumny. Nie spodziewałem się tego. Cieszę się, nikt mi nie zabierze ani tego, ani 15 meczów w reprezentacji. To zawsze zostanie ze mną. Zdaję sobie sprawę, że mogło być inaczej, w tamtych czasach też było trudno, bo nie było tylu wyjazdów zagranicznych. Teraz często jest tak, że młodzi zawodnicy rozegrają parę dobrych spotkań i zainteresowanie nimi jest znacznie większe. Pamiętam, że po pierwszym sezonie, który rozegrałem praktycznie od dechy do dechy, czyli 2009/10, nie było nie wiadomo jakich ofert. Uważam, że gdybym w obecnych czasach rozegrał taki sezon, ofert byłoby bardzo dużo, ale nie mam z tym problemu. Nie rozpatruję tego, po prostu cieszę się z tego, co osiągnąłem. Zdaję sobie sprawę, że mogłem osiągnąć więcej, ale mogło to też pójść w drugą stronę. Często zawodnicy naprawdę utalentowani odbijają się od ekstraklasy, bo po kilkunastu meczach mocno idą w dół.

Jakie kluby zagraniczne się do ciebie zgłaszały?

– Gdy miałem 19 lat i grałem z kadrą na towarzyskim turnieju w Katarze, gdzie fajnie się zaprezentowaliśmy, byłem bardzo blisko przejścia do angielskiego Fulham. Spędziłem tam dwa dni na testach medycznych, rezonansach, byłem obejrzeć mecz Premier League. Fulham było jednak wtedy na krawędzi i w pewnym momencie wszystko się posypało, zmieniły się władze i do transferu nie doszło. Nie wiem, jakby to się potoczyło, bo miałem już trenować z pierwszym zespołem. W Chorzowie pojawiło się jeszcze coś z Włoch, a drugi taki najkonkretniejszy temat to w czasie Wisły, kiedy miałem propozycję z Turcji, ale nie puścił mnie klub, żądając za mnie większych pieniędzy. Pozostałem w Krakowie, ale nie rozpaczałem z tego powodu. Dalej robiłem swoje. Z polskiego rynku, gdy grałem w Wiśle, dwukrotnie próbowała mnie ściągnąć Legia, ale finalnie nigdy do niczego nie dochodziło (śmiech). Można więc powiedzieć, że miałem bardzo ustabilizowaną karierę, a jak się gdzieś osadzałem, to na dłużej.

W reprezentacji zagrałeś 15 meczów, wszystkie towarzyskie, bo spora część tych spotkań przypadła na okres przygotowań do Euro 2012, gdzie siłą rzeczy kadra nie grała o punkty. Jak to oceniasz, mogło być ich więcej?

– Zdecydowanie. To było bardziej z mojej winy i moich obaw, które wtedy miałem w związku z lataniem samolotem. To mnie w kadrze mocno przekreśliło, także jeśli chodzi o grę na Euro. To był dla mnie nieprzyjemny okres.

Czyli to wyglądało tak, że chciano cię powołać, a ty odmawiałeś, bo trzeba było gdzieś polecieć?

– Mniej więcej tak. Świętej pamięci trener Franciszek Smuda nie był wtedy zadowolony z takiej sytuacji. Mocno mnie przekonywał, żebym przełamał swoje obawy, ale wówczas to była taka skala, że człowiek sobie z tym nie poradził i wyszło, jak wyszło. Uważam więc, że w reprezentacji mogłem osiągnąć więcej.

Ostatnio głośno było o Kamilu Grosickim, który żegnał się z kadrą. Jego pamiętny gol to rajd na wyjeździe z Rumunią w 2016 roku, gdzie Polska wygrała w eliminacjach MŚ 3:0. A ty... byłeś tego świadkiem! Sześć lat po poprzednim występie w kadrze siedziałeś wtedy na ławce.

– A to nawet nie wiedziałem (śmiech). To był mój dobry okres, ale nawet nie pamiętam, na ilu zgrupowaniach u trenera Adama Nawałki byłem. Wróciłem do reprezentacji, ale szkoda, że nie udało się wtedy zagrać, bo byłem w wysokiej formie. Wydaje mi się, że w tamtym momencie byłem lepszym zawodnikiem niż podczas pierwszych meczów w reprezentacji. Miałem większy bagaż doświadczeń, fajnie się na tę kadrę przyjeżdżało, bez żadnych obaw, jechałem jak po swoje – ale niestety takie były wybory trenera. Mimo wszystko pozytywnie to wspominam.

Teraz pół żartem, pół serio. Prawie cała twoja kariera to typowo górnośląski Ruch i małopolska Wisła. Pochodzisz z Dankowic – w województwie śląskim, ale leżących w Małopolsce. Jesteś człowiekiem pogranicza. Bardziej czujesz się hanysem czy gorolem?

– Chyba pół na pół (śmiech). Ciężko powiedzieć, bo gdy jestem w Chorzowie, możemy pogodać po śląsku. Mam żonę ze Śląska, więc jakaś część mnie jest mocno związana z tym regionem. Ale osiem lat w Krakowie to też kawał czasu. Mieszkam na rozdrożu, bo w jedną stronę jedzie się na Śląsk, w drugą do Krakowa, w obu kierunkach po godzinie.

Mieszkasz w Wilamowicach, które słyną ze swojego wyjątkowego języka wilamowskiego, więc jest dodatkowy smaczek.

– Zgadza się, mamy nawet muzeum wilamowskie, aczkolwiek nie znam ani jednego słowa w tym języku (śmiech). Nie wiem nawet, czy ktoś się nim posługuje (w spisie powszechnym z 2021 roku tylko 10 osób zadeklarowało używanie języka wilamowskiego – przyp. red.). Dobrze nam się tutaj żyje i najważniejsze jest to, że razem z rodziną jesteśmy szczęśliwi w miejscu, w którym chcieliśmy być.

Czego ci życzyć w... chyba jeszcze nie końcówce kariery? Cristiano Ronaldo w wieku 40 lat nadal zdobywa z Portugalią puchary...

– To są ludzie-ewenementy (śmiech). Ja nie widzę siebie, żeby grać w takim wieku i nie wiem, czy bym tego chciał. Gdybym się dobrze czuł, to może, ale nie wiem, czy chciałbym aż tak bardzo żyłować organizm. Zobaczymy, co życie przyniesie.

Rozmawiał
Piotr Tubacki

Sport 4afc18060c

15.

Zagłębie Lubin

STRZELCY (33)

7 – Pieńko, 4 – Kurminowski, Wdowiak, 3 – Orlikowski, 2 – Ławniczak, Mróz, Szmyt, 1 – Adamczyk, Dąbrowski, Grzybek, Jach, Kłudka, Michalski, Radwański, Reguła, Sejk

PLUSY

Młodzi i polscy

■ Zagłębie kojarzy się przede wszystkim z dwiema rzeczami. Po pierwsze, miedź i KGHM. Po drugie, szkolenie młodzieży. Lubińska akademia jest jedną z najsprawniejszych w Polsce i tego nikt jej nie odbierze. Ma to przełożenie na całe funkcjonowanie klubu, który w jak największym stopniu ma wpuszczać do seniorów dolnośląską młodzież. Dzięki temu Zagłębie ponownie dało popis w klasyfikacji Pro Junior System i wygrało ją. Przewaga nad drugim Lechem była niewielka, ale już nad trzecią Jagiellonią – punktowo prawie dwukrotna. Za niemal cały dorobek Miedziowych odpowiadali co prawda tylko Tomasz Pieńko oraz Igor Orlikowski, lecz to też przecież świadczy o tym, jak utalentowaną dwójkę ma w swoich szeregach Zagłębie. No i lubinianie mieli najbardziej polską kadrę w lidze, ustępując finalnie nieznacznie tylko GKS-owi Katowice. Pod względem najniższej średniej wieku byli w top 3.

MINUSY

Ofensywa pożal się Boże

■ Co sezon ktoś musi dzierżyć ten niechlubny tytuł, tym razem padło właśnie na lubinian. Zagłębie może „poszczycić się" mianem najgorszej ofensywy ekstraklasy. W 34 kolejkach strzeliło tylko 33 gole, będąc jedyną ekipą w stawce, która wykręciła średnią poniżej jednej bramki na mecz. Ich defensywa również nie rzucała na kolana, ale w tym aspekcie da się akurat znaleźć paru gorszych. Nie było w ekstraklasie drużyny, w której najskuteczniejszy piłkarz miałby mniej goli niż najskuteczniejszy piłkarz Zagłębia – Tomasz Pieńko 7 razy pakował piłkę do siatki (tak jak najlepsi w Lechii Bobczek i Wjunnyk, Felix w Piaście i Al-Hamlawi w Śląsku). Tylko Puszcza Niepołomice kreowała w minionym sezonie gorsze okazje strzeleckie od Zagłębia, z tym że Miedziowi oddali... drugą największą liczbę uderzeń. Tylko gdzie oni strzelali?!



Tomasz Pieńko to jeden z nielicznych pozytywów w ekipie Zagłębia w zakończonym sezonie.

Fot. Tomasz Folta / Press Focus

Najgorsi od lat

Odkąd Zagłębie Lubin wróciło do ekstraklasy, nie zaliczyło w niej tak słabego sezonu, jak ten miniony.

7,4

TAKA jest średnia lokata, jaką zajmuje Zagłębie, odkąd ponownie awansowało do ekstraklasy. Kolejno były to miejsca: 3, 9, 7, 6, 11, 8, 13, 9, 8 i teraz 15.

Czy w Lubinie można mówić o wielkiej presji? Cóż, nie ma co ukrywać, że są w ekstraklasie kluby, które „grzeją" bardziej niż Miedziowi, raczej nie mogący mówić o rzeszach kibiców i niepohamowanym zainteresowaniu medialnym. Zagłębie wkleiło się w ligową szarość – ale jednak ekstraklasową, nie pierwszoligową. Kiedy zbliżyło się niebezpiecznie do strefy spadkowej, a w pewnym momencie nawet się w niej znalazło, nagle oczy wszystkich skierowały się na jedno z miast leżące w prostej jak kij linii futbolowej Legnica-Lubin-Polkowice-Głogów.

Ciepłe kluchy

Miedziowi w 2014 roku spadli z ekstraklasy, ale od razu do niej powrócili. Jak więc łatwo policzyć, właśnie minęła ich dekada nieprzerwanych występów w elicie. Miniony sezon, w pewnym sensie jubileuszowy, okazał się jednak beznadziejny. Zagłębie zajęło 15. miejsce, ostatnie bezpieczne, najgorsze w tym okresie, choć – by być uczciwym – utrzymanie zapewniło sobie kilka kolejek wcześniej, samą końcówkę grając już bez większej presji. Marne to jednak pocieszenie. To dopiero trzeci raz od powrotu do najwyższej ligi, kiedy lubinianie zajmują „dwucyfrowe" miejsce – wcześniej 11. w 2020 i 13. w 2022 roku. Zagłębie było spokojnym zespołem środka tabeli i już wtedy mówiło się, że to zdecydowanie za słaby wynik jak na klub, który naprawdę dobrze płaci i w którym finanse to ostatnia rzecz, o jaką trzeba się martwić. KGHM jest gwarantem spokoju i wypłacalności, choć niedawno zaczęło mówić się o drobnym kłopotach spółki, która zaczęła też coraz bardziej przyglądać się piłkarskim podopiecznym. Zaczęto się zastanawiać, czy pieniądze łożone na futbol na pewno są wydawane tak, jak należy i czy w ogóle gra jest warta świeczki. Pytania zasadne, skoro drużyna skończyła na ostatniej bezpiecznej lokacie. Wszyscy zastanawiali się, czy w Lubinie nie jest za wygodnie i co zrobić, aby wysokiej jakości warunki przełożyć na lepsze wyniki i próbę zaatakowania pucharów. Tymczasem trzeba było zastanawiać się, co zrobić, żeby utrzymać się w ekstraklasie.

Ugasił pożar

Sam fakt, że Miedziowi byli w tym sezonie prowadzeni przez trzech szkoleniowców, wiele mówi na temat chaosu, w jaki popadł klub. Dodatkowo każdego z nich charakteryzowały inne cechy, a kadra przecież ciągle była (niemal) ta sama. Zaczął Waldemar Fornalik, przejął Marcin Włodarski, a skończył Leszek Ojrzyński. Tego ostatniego akurat można głównie chwalić, bo przyszedł do Lubina w doskonale sobie znanej roli strażaka i ugasił pożar, w dodatku robiąc to relatywnie spokojnie. Finezji w Zagłębiu może z nim nie było, ale wyniki konieczne do utrzymania – jak najbardziej. Ojrzyński osiągnął bilans zwycięstw-remisów-porażek na poziomie 4-2-4, popsuty dwiema ostatnimi kolejkami, gdy lepsi okazali się Motor Lublin i Cracovia – ale wtedy Miedziowi byli już pewni pozostania w elicie. 53-latek z Ciechanowa zapracował na to, aby dostać szansę na dłużej i szykuje się z zespołem do nowych rozgrywek. Nie jest on co prawda gwarantem sukcesu i nie wiadomo jakiego progresu, w poprzednim zespołach zbyt długo nie pracował – no ale może w Lubinie się sprawdzi?

Fantastyczny kwiecień

– Przychodziłem do Lubina, żeby utrzymać Zagłębie i przy okazji, jeśli będzie możliwość, korzystać z młodych zawodników. Udało się i przy okazji wygraliśmy Pro Junior System – mówił po zakończeniu sezonu Leszek Ojrzyński. – Mieliśmy na początku trudne momenty, ale potem przyszedł fantastyczny kwiecień, za który odebrałem statuetkę najlepszego trenera, co zrobiłem w imieniu całej drużyny, tak to traktuję. Przy okazji Tomasz Pieńko został najlepszym młodzieżowcem i to był znakomity moment, w którym odskoczyliśmy naszym konkurentom z dolnej strefy, co okazało się kluczowe – dodał Ojrzyński, który do nowego sezonu będzie przygotowywał się razem z nowym dyrektorem sportowym. Dość niespodziewanie został nim Rafał Ulatowski, raczej kojarzony z trenowaniem, a nie „załatwianiem". Zastąpił Wojciecha Tomaszewskiego.

Mało obcokrajowców

W którą stronę pójdzie teraz Zagłębie? Zakończony sezon kończyło z czterema obcokrajowcami w składzie – dwoma Szwedami i dwoma Bośniakami, z tym że Jasmin Burić posiada polskiego obywatelstwo. Zresztą pozostała trójka dołączyła do zespołu zimą, kiedy też odeszli z kadry Portugalczyk i Czech. Już wiemy, że Miedziowi sprowadzili na lewą obronę Chorwata Lukę Lucicia, ale czy to będzie metoda na naprawienie wszystkich bolączek? Jedno jest pewne. Z kim, jak z kim, ale z trenerem Ojrzyńskim Zagłębie na pewno będzie o poprawę wyników walczyć.

Piotr Tubacki

Sport 4afc18060c

10.

Ruch Chorzów

STRZELCY (50)

12 – Szczepan, 7 – Novothny, 6 – Barański, 5 – Kozak, 4 – Szwoch, 3 – Mezghrani, 2 – Myszor, Preisler, Ventura, 1 – Cykało, Moneta, Sadlok, Starzyński, Sz. Szymański, samobójcze – Wełna (Kotwica), Plewka (Znicz)

PLUSY

Miotła zamiotła

■ Fakty są takie, że po niezadowalającym początku i zwolnieniu trenera Janusza Niedźwiedzia, gdy drużynę przejął Dawid Szulczek – ta odżyła. Jasne, że po dwóch zwycięstwach – z Górnikiem Łęczna i GKS-em Tychy – przyszły porażki z Miedzią Legnica i Stalą Stalowa Wola, gdzie Ruch nie strzelił nawet gola, ale potem pojawiła się seria siedmiu zwycięstw, pomiędzy którymi przypałętała się tylko porażka z Polonią Warszawa. Można mówić, że Niedźwiedź został zwolniony po meczach ze ścisłym topem I ligi, ale takie passy, jak ta Szulczka, na zapleczu ekstraklasy zdarzają się rzadko – nawet jeśli terminarz teoretycznie sprzyjał. Dzięki temu Niebiescy zakończyli rok 2024 na 4. miejscu i z optymizmem patrzyli w przyszłość, zerkając już nie tylko na potencjalny awans poprzez baraże, ale nawet na zaatakowanie miejsc dających bezpośrednią promocję. Tyle że wtedy nadeszła ona...

MINUSY

Fatalna wiosna

■ Tym, co wydarzyło się w Chorzowie wiosną 2025 roku, w niebieskiej części Górnego Śląska będzie straszyło się jeszcze przez długie lata. Teoretycznie wszystko grało, wszystko pasowało, miało być pięknie i cudownie, przy Cichej wszyscy wyczuli zapach sukcesu. No i nadeszła katastrofa. Wszystko się posypało, mental rozsypał się jak domek z kart. Inauguracyjny remis z Pogonią Siedlce był niepokojący, ale to jeszcze pół biedy. Potem był frekwencyjny rekord 50-lecia i gigantyczna kompromitacja – porażka 0:5 z Wisłą Kraków. To ona „siadła na psychę" chorzowian, którzy w sumie zaliczyli dziewięć ligowych meczów bez zwycięstwa, aż sześć z nich przegrywając. Dopiero w kwietniu się przełamali, wygrali trzykrotnie i zaświtała nadzieja na baraże. Wystarczyło wygrać z ŁKS-em i Chrobrym, by w ostatniej kolejce walczyć o wszystko z Polonią na Stadionie Śląskim. Jak wiemy, nie wyszło...



Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

0:5 z Wisłą Kraków to najbardziej pamiętny moment minionego sezonu w Chorzowie.

Z chmur na ziemię

Poprzedni sezon był dla Ruchu jedną wielką nauczką, z której trzeba wyciągnąć jeden główny wniosek – I liga to nie przelewki i nic w niej nie jest przesądzone.

7
WYPOŻYCZONYCH piłkarzy miał w swojej kadrze na koniec sezonu Ruch. Trochę za dużo. Tym razem takiego błędu chorzowianie popełnić już nie chcą.

Fakty są takie, że Ruch zakończył sezon w drugiej połowie tabeli. Był co prawda najlepszym spadkowiczem, ale strata osiem punktów do miejsca barażowego to wynik, którego nie da się usprawiedliwić. Pozytyw to fakt, że w Chorzowie nikt nie tuszuje rzeczywistości. Wzięli się za wyciąganie wniosków i w następnych miesiącach okaże się, jak im się to udało. Jeśli źle – polecą głowy.

Głowa trenera

Ktoś jeszcze pamięta Janusza Niedźwiedzia? Wydaje się to przeszłością niemalże antyczną albo chociaż średniowieczną, ale to pod kierunkiem właśnie tego trenera budowany był Ruch zeszłego lata. Po spadku z ekstraklasy klub był jednak w powijakach, jeśli chodzi o plany na I ligę – i to był pierwszy błąd. Choć szanse na utrzymanie w elicie były iluzoryczne, przy Cichej dość leniwie zabierano się za szykowanie do gry na zapleczu. To skutkowało oknem transferowym rozciągniętym na wiele tygodni, piłkarzami przychodzącymi późno, w różnych momentach okresu przygotowawczego, co siłą rzeczy wpływało na ich dyspozycję. Świeżo mianowany dyrektor sportowy Tomasz Foszmańczyk został rzucony na głęboką wodę. Inna sprawa, że myśl trenera Niedźwiedzia też męczyła co poniektórych i tak oto gra Niebieskich wyglądała słabo. Wygrali tylko z Odrą na inaugurację, a potem zaliczyli serię pięć gier bez zwycięstwa. Niedźwiedź przypłacił to głową – w jego miejsce przyszedł Dawid Szulczek, a nowym trenerem m.in. Mo Mezghrani. Poprzedni szkoleniowiec nie cieszył się szczególną sympatią społeczności, ale Szulczek to co innego, w końcu jest „niebieski" i ze Świętochłowic. No i poprawił wyniki.

Kwestia czasu

Pamiętamy, że Ruch zakończył 2024 na 4. pozycji, gdzie wydawało się, że baraże to absolutne minimum, o jakie będzie walczył. Jasne, trzeba mieć na uwadze, że Szulczek dostał łatwiejszy terminarz, który w przypadku Niebieskich układał się dość kuriozalnie. Początek? Sami giganci I ligi i prawie same wyjazdy, bo na Stadionie Śląskim odbywały się inne imprezy. Potem wszystko się wyrównało, a chorzowianie mierzyli się ze znacznie słabszymi przeciwnikami, których regularnie ogrywali, a Odrę czy Chrobrego wręcz rozgromili, wbijając im w sumie 11 goli. Czas sprzyjał zespołowi i przyznawał to nawet sam trener Szulczek. Trener Niedźwiedź z kolei w wywiadach po zwolnieniu przekonywał, że tego czasu na wyjście z kryzysu nie dostał. Czy miał rację? Bo Szulczek na brak czasu narzekać nie mógł, co udowodniła wiosna – można już chyba określić ją jako historyczną.

Jak korkociąg

Ruch miał wszystkie karty po swojej stronie. Zimą nie było potrzeby wielkich wzmocnień, zespół rozpoczął przygotowania bez większych zaległości kondycyjnych, poleciał na komfortowe zgrupowanie do Turcji, a te transfery, których już dokonano, były w większości trafione. Ale co z tego, skoro pojawił się abstrakcyjny wręcz kryzys? Chorzowianie przestali wygrywać, wpadli w mentalny dołek i jak korkociąg zakręcali się w nim jeszcze bardziej. Od lutego do połowy kwietnia na 27 punktów zdobyli tylko 3, co musiało poskutkować obsuwą w tabeli (ostatecznie sezon skończyli dopiero na 10. miejscu). Udało im się na krótko przełamać, ogrywając mające jeszcze większe kryzysy ekipy Kotwicy, Stali Rzeszów i Warty, ale wtedy już nikt przy Cichej nie wierzył w baraże, co zresztą trener Szulczek sygnalizował wprost na konferencjach.

Przyczajony łowca

Co zawiniło? Czynników jest wiele, każdy ma swoje znaczenie, a mimo tego tajemnica kryzysu wciąż pozostaje nierozwikłana. Drużynę dręczyły drobne urazy. W szatni za dużo było zawodników, którzy chcieli grać, a miejsc na boisku jest tylko 11. Nie pomagała w tym zaciężna armia wypożyczona, licząca na regularne minuty z „eRką" na piersi. Skład zespołu był najstarszy w lidze, co nie sprzyjało fantazji i energii w wychodzeniu ze schematów. Poza tym najzwyczajniej w świecie okazało się, że co najmniej kilka zespołów ma po prostu lepsze składy (co nie znaczy, że Ruch miał słaby). Pewne błędy w decyzjach popełnił trener, szatnia także z czasem zaczęła patrzeć bardziej na siebie niż na dobro zespołu. No i wielki wpływ na mental chorzowian miała historyczna wręcz wpadka z Wisłą Kraków 0:5 przy prawie 54-tysięcznej publice. Trudno się było z tego pozbierać. Jeśli weźmie się pod uwagę tylko mecze rozegrane w tym roku, to Ruch w takiej tabeli zajął 13. miejsce. I liga jest jak przyczajony łowca, który najpierw potrafi dać poczucie złudnego bezpieczeństwa, a potem bezlitośnie atakuje. Ruch na papierze nie był zespołem na tak niskie miejsce jak 10., ale nie był też tak silny, aby baraże przyszły mu za półdarmo. Wyszedł za bardzo do przodu i zabrakło go z tyłu.

Wszystko się na siebie ponakładało i wyszła absurdalnie wręcz słaba runda, z której trzeba wyciągnąć wnioski. Teraz w Ruchu już nikt nie składa ognistych deklaracji. Przy Cichej wolą ciszę.

Piotr Tubacki

Dzisiaj pierwsza przymiarka

Spadkowicz z ekstraklasy pozyskał dwóch nowych piłkarzy, ale czeka na kolejne nowe twarze.

ŚLĄSK WROCŁAW

W niedzielę drużyna z Oporowskiej rozpoczęła przygotowania do nowego sezonu. Wrocławianie pierwszą część przygotowań spędzą na własnych obiektach. To tutaj pierwszego dnia zawodnicy przeszli testy wydolnościowe, sprawdzające stan gotowości organizmów do czekającego ich wzmożonego wysiłku. W poniedziałek zaś zespół spotkał się na pierwszym treningu, podczas którego trener Ante Szimundza miał do dyspozycji 26 piłkarzy. Do zespołu nie dołączyli na razie Bułgar Aleks Petkow i Palestyńczyk Assad Al Hamlawi, którzy z racji występów w reprezentacjach narodowych otrzymali zgodę na powrót do zajęć z zespołem od początku przyszłego tygodnia. – Badania wydolnościowe miały dokładnie sprawdzić możliwości fizjologiczne zawodników, które mają bezpośrednie przełożenie na wydajność w grze – powiedział trener przygotowania motorycznego, Krzysztof Kapelan. – Takie testy dostarczają danych o pracy układu oddechowego, krążeniowego i metabolizmu podczas wysiłku. Pozwalają określić potencjał fizyczny zawodnika i zindywidualizować trening. To niezwykle ważne w okresie przygotowawczym, bo dzięki temu wiemy, w którą stronę mamy podążać, jeśli chodzi o treningi i obciążenia.

Sobociński w poczekalni

Dzisiaj czeka wrocławian sparing z Baryczą Milicz (godzina 16.00). Każdy z zawodników ma w nim zagrać 45 minut. Potem Śląsk wyjedzie na zgrupowanie do Trzebnicy, gdzie rozegra mecze kontrolne ze słowackim FC Koszyce (27 czerwca) i Chrobrym Głogów (2 lipca). Zwieńczeniem obozu będzie spotkanie z czeskimFK Pardubice (5 lipca), które odbędzie się we Wrocławiu.

Nowymi twarzami w zespole z Oporowskiej są austriacki obrońca Marko Dijaković, który podpisał roczny kontrakt z opcją przedłużenia oraz 22-letni Luka Marjanac. Bośniacki skrzydłowy, który ostatnio występował w ND Gorica, podpisał dwuletni kontrakt z opcją przedłużenia o rok.

Testy w Śląsku rozpoczął 26-letni obrońca Jan Sobociński. Przez tydzień będzie trenował pod okiem sztabu szkoleniowego, po tym czasie powinna zapaść decyzja co do ewentualnej przyszłości wychowanka ŁKS-u Łódź w klubie z Wrocławia.

Powroty do ojczyzny

Rumuński pomocnik Tudor Baluta rozstał się z drużyną z Oporowskiej po jednym sezonie. Zawodnik wrócił do swojej ojczyzny, gdzie będzie kontynuował karierę w CS Universitatea Craiova. Baluta trafił do Wrocławia w lipcu 2024 roku, w całym sezonie uzbierał łącznie 26 występów, z czego 16 razy wychodził na boisko w podstawowym składzie.

W koszulce Śląska w nadchodzącym sezonie nie zobaczymy także Słowaka Petera Pokornego. W środę kontrakt niespełna 24-letniego pomocnika został rozwiązany, ale już wcześniej zaprezentowano go jako nowego zawodnika Slovana Bratysława.

Odświeżony sztab

Do zmian doszło również w sztabie szkoleniowym. Ze Śląskiem pożegnał się trener bramkarzy Maciej Sikorski. Jego umowa została rozwiązana za porozumieniem stron, mimo że obowiązywała jeszcze przez rok. Jego następcą został Miłosz Gładoch, który pracuje w Śląsku od sezonu 2022/23, kiedy pełnił funkcję szkoleniowca bramkarzy w drużynie rezerw oraz koordynował działania związane ze szkoleniem bramkarzy akademii.

Wrocławianie będą mieć również nowego analityka. Trener Luka Pintarić odszedł już 28 maja i został zastąpiony przez Krystiana Rubajczyka.

Daniel Bizewski



Fot. Piotr Matusewicz / Press Focus

Tudor Baluta (z lewej) po rocznym pobycie we Wrocławiu rozstał się ze Śląskiem.



Fot. Skra Częstochowa

Piotr Nocoń to kapitan i ikona klubu z Loretańskiej...

Powrót do korzeni

Spadkowicz spod Jasnej Góry otrzymał licencję na grę w III lidze i działacze mogą skupić się na budowaniu drużyny.

SKRA CZĘSTOCHOWA

To dwie najważniejsze i najbardziej pozytywne informacje wypływające ze Skry, która po siedmiu latach występów w wyższych ligach spadła na czwarty poziom. Decyzja Lubuskiego ZPN, który w najbliższym sezonie będzie prowadził rozgrywki trzeciej grupy III ligi, nie była wcale oczywista, dlatego klubowym działaczom spadł z serca spory kamień. Nie brakowało takich, którzy na Skrze postawili krzyżyk, widząc ją w klasach regionalnych, a bardziej pesymistyczne głosy mówiły nawet o całkowitym upadku.

Wariant oszczędnościowy

Do najgorszego scenariusza nie doszło, ale na razie Skra jest rozsypana organizacyjnie. Nie wiadomo, kto poprowadzi zespół; nie ma sztabu i zawodników. Przyzwyczajeni do problemów są jednak pewni, że obecne trudności również uda się przezwyciężyć. Ze względów finansowych wdrożona zostanie koncepcja budowy zespołu opartego na zawodnikach z regionu; to zresztą powrót do korzeni. – W większości będzie to grupa wywodząca się z regionu częstochowskiego, podobnie jak w 2018 roku, gdy awansowaliśmy do II ligi – mówi wiceprezes Piotr Wierzbicki.

Nie należy jednak spodziewać się nadmiernego posiłkowania graczami drugiej drużyny, pod uwagę branych jest trzech-czterech wyróżniających. Różnica poziomów jest bowiem zbyt duża i zawodnicy, którzy grali na szóstym poziomie, zwyczajnie nie daliby rady natychmiast przeskoczyć dwa szczeble wyżej. – Trzecia liga wcale nie jest taka słaba. Piotr Nocoń grał tam jedną rundę i potwierdza te słowa. Górnik Polkowice, który przez długi czas podążał podobną do nas ścieżką awansów i spadków, ostatnio do końca musiał walczyć o utrzymanie – dodaje Wierzbicki. Wspomniany Nocoń jest ikoną Skry – został jej zawodnikiem w 2014 roku i od tego czasu, z krótką, bo półroczną przerwą na rezerwy Rakowa, w niej występował. W klubie mają nadzieję, że w niej zostanie, ale ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła.

Stadionowe problemy

Licencja jest obarczona nadzorem infrastrukturalnym, ponieważ klub ma wciąż nierozwiązany problem z brakiem trybun na stadionie. Skra poprosiła komisję o odstępstwo w tym zakresie, ale nie ma w swych staraniach zbyt wielu argumentów. Jest spadkowiczem, a nie beniaminkiem, w przypadku których na pewne kwestie czasami można przymknąć oko. Formalnie licencja została przyznana na boisko przy Kopalnianej, ponieważ brak trybun dyskwalifikuje paradoksalnie bardzo nowoczesny obiekt przy Loretańskiej. Skra nie zamierza jednak wyprowadzać się ze swojego obiektu. Za bramkami mają zostać postawione trybuny na 500 osób, które pozwolą spełnić infrastrukturalne braki. Będzie to jednak dość sztuczny twór, bo mało komu będzie się uśmiechało oglądać mecze z tak nieatrakcyjnych miejsc. Innego pomysłu na pozostanie na swoim stadionie w Skrze raczej nie znajdą. Władze miasta w rozwiązaniu tego problemu praktycznie nie pomagają, a po spadku z II ligi nacisk społeczny będzie jeszcze mniejszy.

Awans nie przeszkodził

W Częstochowie od czasu do czasu zdaje się słyszeć głosy, że Skrze zaszkodził nieplanowany awans na zaplecze ekstraklasy w 2021 roku, na który klub nie był pod żadnym względem przygotowany. Wiceprezes Wierzbicki nie zgadza się jednak z takim postawieniem sprawy. – Awans na pewno nam nie zaszkodził. Problemem był za szybki spadek, który stał się przyczyną problemów finansowych. Jeszcze jeden sezon w I lidze pozwoliłby nam na lepsze poukładanie pewnych spraw – tłumaczy działacz Skry.

Nie da się również ukryć, że najgorszą rzeczą związaną z awansem była konieczność wyprowadzki z Częstochowy, ponieważ nie było szans obiektu przy Loretańskiej przystosować do I ligi, a już na pewno nie było na to środków. Najpierw Skra domowe mecze rozgrywała na boiskach rywali, a gdy PZPN zaczął coraz bardziej kręcić nosem, klub – wzorem Rakowa – zaczął wynajmować stadion w Bełchatowie. – Wielka szkoda, że sezonu w roli beniaminka nie udało się zagrać przy Limanowskiego – nie kryje żalu Wierzbicki. Skrze nie udało się dogadać z Rakowem, a władze miasta również jej w tych staraniach nie wspierały. Obecnie klub z Loretańskiej znajduje się w zupełnie innej rzeczywistości, ale należy się cieszyć, że przynajmniej na razie w ogóle przetrwał.

Mariusz Rajek

Sport 4afc18060c

Ostatni sezon braci

Ludzie dobrze wiedzą, gdzie bić i gdzie boli najbardziej. Od wielu lat słyszę, że Alex i Dani grają w Kielcach, bo jestem ich ojcem. Zdecydowaliśmy więc, że nie zostaną w zespole - mówi trener Tałant Dujszebajew.

INDUSTRIA KIELCE

Sezon 2025/26 będzie ostatnim, w którym bracia Alex i Daniel Dujszebajewowie, będą zawodnikami Industrii Kielce. O odejściu obu rozgrywających poinformował sport.tvp.pl trener wicemistrzów Polski, a prywatnie ich ojciec, Tałant Dujszebajew.

Stracą kapitana

Bracia są zawodnikami Industrii od 2017 roku. Alex trafił do Kielc z Vardaru Skopje w wieku 25 lat, świeżo po wygraniu z macedońskim klubem Ligi Mistrzów. Z kolei młodszy o pięć lat Daniel dołączył do drużyny rok później, ponieważ pierwszy sezon spędził na wypożyczeniu w słoweńskim Celje. Alex jest od kilku sezonów kapitanem i niekwestionowanym liderem drużyny, ale także jednym z najlepszych piłkarzy ręcznych świata. W ostatnich dwóch sezonach wpływ na jego dyspozycję miały problemy zdrowotne. Daniel też ma za sobą dwie poważne kontuzje kolana, a obaj z bratem są uniwersalnymi rozgrywającymi zarówna w ataku, jak i obronie. - Zdecydowaliśmy, że ani Alex, ani Dani, nie zostaną w zespole po nadchodzącym sezonie - mówi najpierw spokojnie trener Dujszebajew, a potem już z wrodzonymi sobie emocjami uzasadnia, trzeba przyznać, mocno zaskakujące decyzje.

Za dużo krytyki

- Sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą. Od wielu lat słyszę, że Alex i Dani grają w Kielcach, bo jestem ich ojcem. Komuś będzie się podobał jeden zawodnik, a komuś innemu drugi - to normalne. Ale ludzie dobrze wiedzą, gdzie bić i gdzie boli najbardziej. Nikt nie patrzy na to, że Dani to zawodnik, który w ostatnich dwóch latach grał na wszystkich pozycjach i dawał drużynie wiele, czego sporo osób nie dostrzegało. Alex od dwóch lat ma mniejsze lub większe problemy zdrowotne, co odbijało się na jego formie. Obaj spotkali się z bardzo dużo krytyką. Uznaliśmy więc, że w 2026 roku skończą kontrakty i będą szukali nowych klubów. Myślę, że nie będą z tym mieli większych problemów - stwierdził szkoleniowiec wicemistrzów Polski.

Zbigniew Cieńciała



Fot. Norbert Barczyk/Press Focus

Alex Dujszebajew ma już dość występów w Polsce.

Porzućmy nadzieje

Przepraszamy – jedynie to słowo powinno paść ze strony młodych Biało-czerwonych po meczu ze Słoweńcami. Nie na to liczyliśmy, nie tego oczekiwaliśmy.

MŁODZIEŻOWE MISTRZOSTWA ŚWIATA



Fot. PAP / Marian Zubrzycki

Jedynie do Adama Witkowskiego, który odbił 10 z 32 rzutów, nie można mieć większych pretensji.

Po inauguracyjnym wysokim zwycięstwie z Urugwajem i remisie Słowenii z Norwegią piątkowy pojedynek Polaków z siódemką z Bałkanów – w przypadku zwycięstwa – mógł im zapewnić awans do fazy głównej. Stawka meczu była więc spora, choć w odwodzie mieliśmy jeszcze sobotnie spotkanie z Norwegami i ewentualne zwycięstwo dawałoby awans do głównej drabinki. Tylko po co czekać 24 godziny na decydujące starcie ze Skandynawami, którzy i tak wydawali się teoretycznie silniejszym przeciwnikami od piątkowych? Chcąc mierzyć wysoko, chcąc coś osiągnąć, wczorajsza konfrontacja z reprezentacją, którą w lipcu ubiegłego roku podczas Euro U-20 nasza młodzież pokonała 33:29, była kluczowym momentem dopiero co rozkręcającego się mundialu.

Nerwowo, nieskutecznie

Zaczęliśmy nerwowo, nieskutecznie, od zmarnowanych trzech stuprocentowych okazji. Mocno spięci pierwszą bramkę zdobyliśmy dopiero w 8 minucie, po rzucie karnym Patryka Wasiaka, a gola z akcji w 10 minucie za sprawą Patryka Grzesika. Po kwadransie o czas poprosił nasz selekcjoner i najpierw dwukrotnie zapytał swoich chłopaków: „Czy jesteśmy na hali?". Pytanie zasadne, bo początek był fatalny z mnóstwem niewymuszonych błędów i nieprawdopodobnie marnowanymi „setkami". Jedynie do Adama Witkowskiego nie można było mieć większych zastrzeżeń. W 22 minucie doszliśmy Słoweńców na 3 gole, ale wystarczył moment, by... straty wzrosły dwukrotnie. Do przerwy przegrywaliśmy 5 bramkami i... sami ze sobą. Polacy prezentowali się bardzo kiepsko, a mimo to wynik był lepszy niż nasza gra.

Jak dzieci we mgle

Druga połowa miała zmienić nasz nastrój, ale tak się nie stało, bo start tej odsłony był taki sam jak pierwszej. Już po 5 minutach o przerwę poprosił trener Bartosz Jurecki, ponieważ w naszej grze nic się nie zazębiało, a dalej marnowane okazje, obijanie Marka Salamona były irytujące. W 40 minucie strata sięgała już 10 bramek, o trzeci time-out poprosił Jurecki, ale choć było jeszcze 20 minut do końca, to ta strata była już nie do odrobienia. Bez czarowania można było uzmysłowić sobie, że deklasująca Biało-czerwonych reprezentacja Słowenii awans do 2. rundy miała już w kieszeni. Marzenia młodych Orłów zostały odłożone do sobotniego (18.30) spotkania z bardzo mocną Norwegią. Tylko czy po tym, co pokazali w piątek w płockiej Orlen Arenie ich i nasze, czyli kibiców, pragnienia nie są czasem z rodzaju fantazyjno-utopijnych...

Zbigniew Cieńciała

■ **Polska - Słowenia 21:31 (9:14)**

POLSKA: Witkowski, Wysocki - Siekierka 4, Kamiński 3, Czertowicz 2/2, Wierzbicki, Wasiak 2/1, Rodak 2, Pinda, Luksa, Pepliński 3, Grzesik 1, Kałużny, Sladkowski 2, Mielczarski 2/1, Martyn. Kary: 14 min. Trener Bartosz JURECKI.

SŁOWENIA: Cesek, Salamon 1 - Jelen 1, Korosec 1, Turk 2, Anžić 5, Muhić 4, Dragić 2, Kacicznik 1, Begić 1, Kljuczanin 7 (CZK, 57 min - gradacja kar), Vujcić, Korže Lesjak 2, Malović 1, Kovacević 3. Kary: 20 min. Trener Klemen LUZAR.

Sędziowali: Carmaux Yann i Mursch Julien (Francja). **Widzów** 900.

Przebieg meczu: 0:3 (7), 1:3 (8), 2:6 (12), 3:7 (15), 4:9 (20), 6:9 (22), 6:12 (26), 8:13 (28), 9:14 (30), 10:14 (33), 10:16 (35), 11:20 (39), 15:23 (45), 18:28 (52), 20:29 (58), 21:31 (60).

MISTRZOSTWA ŚWIATA U-21 - FAZA GRUPOWA

GRUPA A - PŁOCK

Norwegia - Słowenia	33:33 (17:12)
Polska - Urugwaj	39:16 (19:8)
Urugwaj - Norwegia	17:35 (11:18)
Polska - Słowenia	21:31 (9:14)
21.06. Słowenia - Urugwaj	16.15
21.06. Norwegia - Polska	18.30

1. Norwegia	2	3	68:50
2. Słowenia	2	3	64:54
3. Polska	2	2	60:47
4. Urugwaj	2	0	33:74

GRUPA B - PŁOCK

Austria - Argentyna	29:23 (12:13)
Węgry - Brazylia	29:24 (13:10)
Brazylia - Austria	24:32 (14:23)
Węgry - Argentyna	36:31 (16:13)
21.06. Argentyna - Brazylia	11.45
21.06. Austria - Węgry	14.00

1. Austria	2	4	61:47
2. Węgry	2	4	65:55
3. Argentyna	2	0	54:65
4. Brazylia	2	0	48:61

GRUPA C - SOSNOWIEC

Szwecja - Korea Płd.	42:31 (20:14)
Japonia - USA	41:33 (20:10)
USA - Szwecja	21:39 (10:19)
Japonia - Korea Płd.	35:28 (22:15)
21.06. Korea Płd. - USA	16.15
21.06. Szwecja - Japonia	18.30

1. Szwecja	2	4	81:52
2. Japonia	2	4	76:61
3. Korea Płd.	2	0	59:77
4. USA	2	0	54:80

GRUPA D - SOSNOWIEC

Portugalia - Algieria	33:21 (18:11)
Chorwacja - Kanada	44:20 (21:12)
Kanada - Portugalia	12:45 (6:24)
Chorwacja - Algieria	35:24 (18:7)
21.06. Algieria - Kanada	11.45
21.06. Portugalia - Chorwacja	14.00

1. Portugalia	2	4	78:33
2. Chorwacja	2	4	79:44
3. Algieria	2	0	45:68
4. Kanada	2	0	32:89

GRUPA E - KATOWICE

Dania - Maroko	43:31 (21:18)
Francja - Meksyk	46:17 (23:8)
Meksyk - Dania	20:48 (8:22)
Francja - Maroko	35:28 (18:15)
21.06. Maroko - Meksyk	16.15
21.06. Dania - Francja	18.30

1. Dania	2	4	91:51
2. Francja	2	4	81:45
3. Maroko	2	0	59:78
4. Meksyk	2	0	37:94

GRUPA F - KATOWICE

Islandia - Rumunia	25:29 (12:15)
Macedonia - Wyspy O.	28:33 (15:16)
Wyspy O. - Islandia	35:35 (21:19)
Macedonia - Rumunia	27:28 (17:12)
21.06. Rumunia - Wyspy O.	11.45
21.06. Islandia - Macedonia	14.00

1. Rumunia	2	4	57:52
2. Wyspy Owcze	2	3	68:63
3. Islandia	2	1	60:64
4. Macedonia Płn.	2	0	55:61

GRUPA G - KIELCE

Tunezja - Szwajcaria	31:41 (17:21)
Niemcy - Serbia	30:29 (14:12)
Tunezja - Serbia	33:38 (10:18)
Szwajcaria - Niemcy	33:43 (14:21)
21.06. Serbia - Szwajcaria	18.45
21.06. Niemcy - Tunezja	21.00

1. Niemcy	2	4	73:62
2. Serbia	2	2	67:63
3. Szwajcaria	2	2	74:74
4. Tunezja	2	0	64:79

GRUPA H - KIELCE

Hiszpania - Bahrajn	40:19 (21:12)
Egipt - Arabia S.	35:30 (19:15)
Arabia S. - Hiszpania	27:35 (9:20)
Egipt - Bahrajn	28:19 (14:10)
21.06. Bahrajn - Arabia S.	11.45
21.06. Hiszpania - Egipt	14.00

1. Hiszpania	2	4	75:46
2. Egipt	2	4	63:49
3. Arabia S.	2	0	57:70
4. Bahrajn	2	0	38:68

Sport 4afc18060c

Litewska sensacja

Cztery reprezentacje wygrały po dwa spotkania i są już w gronie ćwierćfinalistów.

EUROBASKET KOBIET

Trwa 40. edycja kobiecych mistrzostw Europy, które po raz pierwszy rozgrywane są w czterech krajach (Grecja, Czechy, Włochy, Niemcy). Reprezentacje Francji, Włoch, Czech oraz Litwy wygrały już po dwa mecze i zapewniły sobie awans do ćwierćfinałów. Niespodzianką jest gra Litwinek, które w kwalifikacjach po zaciętych spotkaniach dwa razy wygrały z Polską. Teraz pokonały w Bolonii silną Serbię. Litwinki po raz ostatni w EuroBaskecie uczestniczyły, tak jak Polki, w 2015 roku.

W grupie A siłę pokazują Francuzki. Trójkolorowe zaczęły przeciętnie (ledwie punktem wygrały z Turcją), ale w drugim spotkaniu w Pireusie rozbiły gospodynie różnicą ponad 30 punktów!

W Hamburgu brązowe medalistki ME Hiszpanki w odmłodzonym składzie pokonały Brytyjki 85:70, a głównym arbitrem tego spotkania był Dariusz Zapolski z Elbląga.

Grupa A: Szwajcaria - Turcja 67:91, Francja - Grecja 92:56. **Grupa B:** Litwa - Serbia 74:63, Włochy - Słowenia 77:66. **Grupa C:** Czechy - Czarnogóra 89:44, Belgia - Portugalia 81:52, Portugalia - Czechy 49:73. **Grupa D:** Wielka Brytania - Hiszpania 70:85, Niemcy - Szwecja 89:76, Szwecja - Wielka Brytania 75:66.

(p)



Medale wciąż czekają

Fot. PAP / Piotr Nowak

Emocje w Warszawie były ogromne. Choć trener Wojciech Kamiński wspomagał, jak tylko mógł swój zespół, to nieco lepsza okazała się Legia.

O mistrzostwie Polski zadecyduje siódmy mecz w niedzielę w Lublinie.

ORLEN BASKET LIGA

Lublinianie przyjechali do Warszawy, by odebrać puchar za tytuł mistrzowski oraz złote medale. Potrzebowali jednej wygranej, żeby spełnić marzenia.

– Dwudziesty trzeci sezon pracuję jako pierwszy trener, ale nie dociera jeszcze do mnie, że to jest tylko jeden mecz do mistrzostwa – mówił trener Wojciech Kamiński.

W hali na Bemowie doświadczony szkoleniowiec wystawił tę samą piątkę co zwykle i znowu zadziałało. Start dominował w pierwszej kwarcie, goście trafili 5 „trójek", Legia długo wyglądała na bezradną. W 9 minucie po akcjach Tevina Browna i Courtneya Rameya goście mieli 11 „oczek" przewagi (27:16)! W drugiej kwarcie do głosu zaczęli dochodzić jednak gospodarze. Oni też mają marzenia, oni też chcą złota. Najpierw musieli jednak wygrać i doprowadzić do meczu numer siedem. W drugiej kwarcie zbombardowali kosz rywali „trójkami", po czterech takich trafieniach doprowadzili do remisu, a po akcji Aleksy Radanova objęli prowadzenie (30:28). Do przerwy był remis (47:47).

W trzeciej kwarcie nieco pogubili się sędziowie, którzy nie gwizdali oczywistych fauli, a zawodnicy obu drużyn mocno się tym denerwowali. Przed ostatnią częścią Start był nieco dalej od marzeń o złocie, bo sześcioma punktami prowadziła Legia (68:62).

W czwartej odsłonie długo oglądaliśmy akcję za akcję, kosz za kosz. Ostatecznie jednak linę na swoją stronę przeciągnęli warszawianie, którzy mieli sprytnego Kamerona McGusty'ego oraz silnego Mate Vucicia. Amerykanin był najlepszym strzelcem Legii (21 punktów, dwa ważne osobiste w końcówce), a Chorwat zebrał aż 16 piłek! W zespole z Lublina najlepszy był Tyran De Lattibeaudiere, który zanotował 23 „oczka" oraz 11 zbiórek. Trochę zabrakło mu wsparcia kolegów. Statystyki obu drużyn były bardzo podobne. Z jednym wyjątkiem, chodzi o procent skuteczności rzutów za dwa punkty – Legia w tym elemencie była znakomita, miała aż 65 procent, podczas gdy rywale tylko 47.

Oba zespoły wracają zatem do Lublina. W niedzielę w Hali Globus decydujący mecz numer siedem. Zwycięzca będzie złotym medalistą mistrzostw Polski.

Legia Warszawa - PGE Start Lublin 87:83 (19:27, 28:20, 21:15, 19:21)
Stan rywalizacji 3-3

WARSZAWA: McGusty 21 (3x3), Pluta 11 (3x3), Vucić 8, Silins 10 (2x3), Kolenda 11 (1x3) - Radanov 10, Sykes, Wilczek 5, Onu 11 (3x3). Trener Heiko RANNULA.

LUBLIN: Krasuski 8 (2x3), De Lattibeaudiere 23 (1x3), Williams 8 (2x3), Lecomte 14 (2x3), Drame 6 (2x3) - Ramey 18 (1x3), Pelczar, Brown 6 (1x3), Put. Trener Wojciech KAMIŃSKI.

(pp)

Do ostatniej syreny...

O tym, kto zdobędzie mistrzostwo, zadecyduje mecz numer siedem w Oklahoma City.

NBA

W czwartek w Indianapolis Thunder mogli zapewnić sobie mistrzostwo. Wystarczyło tylko wygrać... Ale innego zdania byli Pacers, którzy chcieli doprowadzić do meczu numer siedem. I to im się udało! Pierwsza kwarta była wyrównana, goście zaczęli nieco lepiej, ale potem stopniowo inicjatywę przejmowali miejscowi. Indiana wygrała pierwsze 12 minut 28:25. Prawdziwy popis gospodarze dali w drugiej ćwiartce, w której absolutnie zdominowali rywali. Gracze Thunder byli pogubieni, stracili jakikolwiek pomysł na grę, mieli w tym okresie aż 7 strat, spudłowali wszystkie 5 prób za trzy. Indiana robiła na boisku, co chciała – tercet Aaron Nesmith, Tyrese Haliburton i rezerwowy T.J. McConnell zdobył w tym czasie 25 punktów, a cały zespół z Oklahoma City tylko 17! Pacers wygrali tę kwartę 19 punktami (36:17) i mecz już był rozstrzygnięty. W trzeciej kwarcie przewaga gospodarzy sięgała 31 „oczek".

– Nie chcieliśmy oglądać, jak świętują mistrzostwo w naszej hali. Przyparci do muru zareagowaliśmy, jak należało, świetną zespołową grą – mówił rozgrywający Pacers Tyrese Haliburton.

Po raz kolejny w tej serii sześciu graczy Indiany miało dwucyfrowy dorobek punktowy. Dobrze spisali się dublerzy – Obi Toppin zdobył 20 punktów, a wspomniany McConnell dodał 12 punktów, 9 zbiórek, 6 asyst i 4 przechwyty.

– Uznanie dla Indiany, zasłużyła na zwycięstwo. Rywale przez większość meczu po prostu byli lepsi – komentował trener Thunder Mark Daigneault. W jego zespole najwięcej punktów zanotował Shai Gilgeous-Alexander – 21, ale ten typowany do tytułu MVP finałów zawodnik grał słabo, miał aż 8 strat, nie trafił z dystansu (0/1 za trzy). Z jego kolegami było jeszcze gorzej – Chet Holmgren był cieniem samego siebie, trafił tylko 2 z 9 rzutów z gry! Goście w całym meczu na potęgę pudłowali, zwłaszcza zza łuku (8/30). Przed startem finałów bukmacherzy i eksperci zgodnie typowali pewny sukces Oklahoma City. Mało kto stawiał na to, że rywalizacja potrwa siedem spotkań. Teraz nie ma już pewniaka. Siódme spotkanie to loteria. To pierwszy mecz numer 7 od roku 2016! Spotkanie odbędzie się w niedzielę w Paycom Center w Oklahoma City.

Indiana Pacers - Oklahoma City Thunder 108:91 (28:25, 36:17, 26:18, 18:31)
Stan rywalizacji 3-3

(p)

POD TABLICAMI

Chorwat wybrał urlop

■ Żan Tabak rozstaje się z Treflem. Znakomity szkoleniowiec z Chorwacji kończy pracę w Sopocie po trzech latach. „Kontrakt trenera, podpisany przed sezonem 2022/23, dobiegł końca wraz z ostatnim gwizdkiem sędziego w rywalizacji o brąz. Trzyletni plan Trefla Sopot został zrealizowany z nawiązką. Dziękujemy Trenerze! Žan, hvala ti za sve!" – poinformował klub w krótkim komunikacie w mediach społecznościowych.

Pod wodzą Tabaka w sezonie 2022/23 sopocianie wywalczyli Puchar Polski oraz dotarli do ćwierćfinału play offu. W kolejnym zostali już mistrzem kraju, a w obecnym zdobyli brązowe medale. Chorwat przed wylotem z Polski za pośrednictwem klubowych mediów podziękował właścicielowi klubu, kibicom i wszystkim współpracownikom. – Trzy lata to naprawdę długi okres dla trenera, jeśli chodzi o pracę w profesjonalnym klubie, który ma wysokie ambicje i chce się rozwijać. Dawanie z siebie każdego dnia ponad 100% i wymaganie tego od innych, a równocześnie wzajemne wspieranie się w trudnych chwilach i w marszu naprzód może być naprawdę wyczerpujące. Jednak jeśli ma się dookoła odpowiednich ludzi, nie tylko profesjonalistów, ale po prostu dobrych uczciwych ludzi, wtedy nawet w najtrudniejszych momentach znajduje się siłę i chęć do dalszej pracy. Tak było przez ostatnie trzy lata w Treflu Sopot i dlatego udało nam się tyle osiągnąć.

W tym momencie uznaliśmy, że po tych trzech długich i wyczerpujących sezonach potrzebujemy odpoczynku. Jednak Sopot już dawno dołączył do bardzo krótkiej listy miejsc, które są dla mnie wyjątkowe, więc na koniec dodam tylko – nie mówię „Żegnajcie", mówię „Do zobaczenia!" – powiedział utytułowany zawodnik i szkoleniowiec. Na razie nie wiadomo, kto będzie nowym trenerem Trefla. Trwają rozmowy z potencjalnymi kandydatami.

Łotysz w Słupsku

■ Duży transfer w Czarnych Słupsk. Do ekipy trenera Robertsa Stelmahersa dołączył właśnie Aigars Skele! „Z radością informujemy naszych kibiców o najnowszym wzmocnieniu naszej drużyny! Do składu dołącza Aigars Skele, znany i ceniony rozgrywający, który od lat imponuje swoimi umiejętnościami w lidze" – informuje klub ze Słupska. „Skele to wszechstronny rozgrywający, który znakomicie prowadzi grę drużyny. Jego atuty to świetna penetracja pod kosz, umiejętność gry tyłem do kosza, celność rzutów z dystansu oraz doskonałe rozegranie akcji pick and roll. Bez wątpienia jest to wyjątkowy nabytek, który wzmocni naszą drużynę i dostarczy wiele emocji naszym kibicom" – czytamy na stronie klubu. Skele nie będzie dobrze wspominał minionego sezonu. Zaczynał rozgrywki w Bundeslidze w zespole Rostock Seawolves pod wodzą polskiego trenera Przemysława Frasunkiewicza. Nie poszło mu najlepiej i zdecydował się na powrót do Stali Ostrów Wielkopolski. Tam zagrał jednak tylko pięć meczów, bo podczas okienka reprezentacyjnego w spotkaniu Łotyszy z Hiszpanami uszkodził więzadła w stawie skokowym i musiał przejść operację, a potem kilkumiesięczną rehabilitację.

Wydawało się, że zostanie w wielkopolskim klubie na kolejny sezon. Jednak Stal przeżywała ostatnio kłopoty finansowe, w kolejnych rozgrywkach będzie mieć zapewne mniejszy budżet. Klub rozstał się zatem z zawodnikiem, a ten, mając wolną, rękę podjął współpracę z Czarnymi. Z trenerem Stelmahersem znają się doskonale, pracowali razem przed kilku laty w estońskim Kalevie Tallin.

(p)

Sport 4afc18060c



Fot. volleyballworld.com

Pokaz siły

Dobre humory polskich siatkarek nie dziwią, bo kroczą od zwycięstwa do zwycięstwa.

Polki kontynuują zwycięską serię. Rozbiły Niemki, nie pozwalając im w żadnym z setów przekroczyć granicy 20 punktów.

LIGA NARODÓW KOBIET

Patrząc na dotychczasowe dokonania, mecz z Niemkami wydawał się najtrudniejszy z tych, które Biało-czerwone stoczyły w Belgradzie. Ich rywalki spisują się bowiem nadspodziewanie dobrze. W poprzednich spotkaniach pokonały Francję i Serbię, awansując na piątą pozycję w tabeli i mają realne szanse na zakwalifikowanie się do turnieju finałowego.

Polki zaczęły z ogromnym animuszem. Były skoncentrowane, pewne i skuteczne. Fantastycznie spisywała się Magdalena Stysiak, która w poprzednich spotkaniach długo się rozkręcała. Tym razem od początku była zabójczo skuteczna, pierwszego seta zakończyła z ponad 50-procentową skutecznością , zdobywając atakiem pięć punktów, a do swojego dorobku dołożyła jeszcze asa. Jak zwykle doskonale grała też Agnieszka Korneluk. Kapitan naszej drużyny od początku reprezentacyjnego sezonu trzyma bardzo wysoki poziom. Po raz kolejny pokazała, że jest „królową bloków", raz za razem stopując ataki rywalek. Rozgrywająca Katarzyna Wenerska chętnie też wykorzystywała ją w ofensywie, często wystawiając jej piłkę na „krótką". Poziom trzymały również Martyna Łukasik i Martyna Czyrniańska.

Niemki wyglądały na zaskoczone postawą naszej drużyny. Były bezradne. Całkowicie bezproduktywna była ich liderka Lina Alsmeier, która nie potrafiła przebić się przez blok Polek. Nie najlepiej radziła sobie też w przyjęciu zagrywki. Zresztą jej koleżanki grały równie kiepsko i tylko momentami potrafiły nawiązać w miarę wyrównaną walkę, ale bardziej było to efektem dekoncentracji naszych zawodniczek niż ich dobrej postawy. Tak było m.in. w trzecim secie. Polki wygrywały już 20:13 i oddały rywalkom pole. Te zbliżyły się na cztery „oczka" (24:20). Biało-czerwone szybko jednak odpowiedziały i Paulina Damaske udanym atakiem zakończyła spotkanie.

Polkom w Belgradzie pozostał do rozegrania jeszcze tylko mecz z Serbią (niedziela, godzina 20.00).

(mic)

Grupa VI (Belgrad/Serbia)

■ **Niemcy – Polska 0:3 (16:25, 16:25, 20:25)**

NIEMCY: Kaestner (1), Alsmeier (7), Strubbe (8), Weske (11), Jatzko (4), Cekulaev (5), Pogany (libero) oraz Kindermann (2), Straube, Stautz (1), Grozer (4), Cesar, Schoelzel.
Trener Giulio Cesare BRAGOLI.
POLSKA: Wenerska (2), Czyrniańska (16), Korneluk (10), Stysiak (14), Łukasik (9), Jurczyk (6), Szczygłowska (libero) oraz Smarzek (3), Damaske (2), Grabka.
Trener Stefano LAVARINI.
Sędziowali: Bogdan Laurentiu Stoica (Rumunia) i Ziling Wang (Chiny).

Przebieg meczu
I: 5:10, 10:15, 13:20, 16:25.
II: 6:10, 9:15, 12:20, 16:25.
III: 6:10, 10:15, 13:20, 20:25.
Bohaterka – Martyna CZYRNIAŃSKA.

■ **Niemcy – Serbia 3:1 (25:20, 23:25, 25:17, 25:23)**
■ **Francja – Holandia 3:0 (25:21, 25:19, 25:20)**

Grupa IV (Stambuł/Turcja)

■ **Korea – Belgia 1:3 (16:25, 25:20, 29:31, 12:25)**
■ **Kanada – Brazylia 0:3 (20:25, 23:25, 23:25)**

Grupa V (Hongkong)

■ **Bułgaria – Czechy 0:3 (19:25, 22:25, 11:25)**
■ **Japonia – Włochy 2:3 (23:25, 25:16, 15:25, 25:20, 17:19)**

1. Włochy	7	7/0	19	21:5
2. POLSKA	7	6/1	18	20:7
3. Turcja	6	6/0	16	18:5
4. Japonia	6	5/1	15	17:5
5. Brazylia	6	5/1	14	15:6
6. Niemcy	7	4/3	13	16:13
7. Chiny	6	4/2	12	15:9
8. Czechy	6	3/3	7	11:13
9. Dominikana	6	3/3	7	10:13
10. Holandia	6	2/4	8	10:13
11. Francja	6	2/4	7	10:13
12. Bułgaria	7	2/5	7	11:18
13. USA	6	2/4	6	9:14
14. Belgia	7	2/5	6	8:17
15. Kanada	7	2/5	5	9:19
16. Tajlandia	6	1/5	4	6:16
17. Korea	6	1/5	3	6:17
18. Serbia	6	0/6	4	9:18

Krok do Europy

Częstochowski klub dostał zaproszenie do udziału w Pucharze Challenge i zamierza z niego skorzystać.

STEAM HEMARPOL NORWID CZĘSTOCHOWA

Klub spod Jasnej Góry rozgrywki PlusLigi zakończył na 8. pozycji, więc nie wywalczył prawa występu w europejskich pucharach. W nich znalazły się Bogdanka LUK Lublin, Aluron CMC Warta Zawiercie i PGE Projekt Warszawa (Liga Mistrzów), JSW Jastrzębski Węgiel (Puchar CEV) oraz ZAKSA Kędzierzyn-Koźle (Puchar Challenge). Kędzierzyński klub z udziału w najmniej prestiżowym z pucharów jednak zrezygnował, bo ubiega się o „dziką kartę" do Ligi Mistrzów. Na tej decyzji skorzystał Steam Hemarpol Norwid. „Z radością informujemy, że Klub Siatkarski Norwid Częstochowa otrzymał zaproszenie do udział w europejskich rozgrywkach CEV Challenge Cup w sezonie 2025/2026! To historyczne wydarzenie dla naszego klubu i ogromny krok w kierunku rozwoju i budowania pozycji na arenie międzynarodowej" – czytamy w komunikacie klubu z Częstochowy, który będzie jedynym reprezentantem Polski w tych europejskich rozgrywkach. Losowanie par pierwszej rundy odbędzie się 15 lipca w siedzibie Europejskiej Konfederacji Piłki Siatkowej (CEV) w Luksemburgu.

– Zaproszenie do udziału w Pucharze Challenge to nie tylko nagroda za ciężką pracę w ostatnich sezonach, ale przede wszystkim dowód, że Norwid zaczyna liczyć się nie tylko w PlusLidze, ale i w europejskiej siatkówce. Jesteśmy gotowi na to wyzwanie – zarówno sportowo, jak i organizacyjnie – zapewnił dyrektor klubu, Łukasz Żygadło.

Dla Norwida będzie to debiut w europejskich pucharach. „To wydarzenie ma szczególne znaczenie nie tylko dla naszego zespołu, ale i dla całej siatkarskiej społeczności Częstochowy, która od lat marzyła o powrocie międzynarodowych rozgrywek do naszego miasta. Dziś te marzenia stają się faktem. Norwid wkracza na europejskie salony!" – podkreślił klub.

– Challenge Cup to dla nas okazja, by zdobyć bezcenne doświadczenie i zmierzyć się z zespołami reprezentującymi inne siatkarskie szkoły. Chcemy godnie reprezentować Polskę i Częstochowę, a przy tym dostarczyć naszym kibicom wiele sportowych emocji – przyznał Żygadło.

Dodajmy, że częstochowscy działacze intensywnie pracują nad budową drużyny na nowy sezon. Na razie skupili się na przedłużeniu umów z czołowymi zawodnikami z poprzedniego sezonu. Udało im się już namówić na pozostanie w Częstochowie Patryka Indrę, Milada Ebadipoura i Bartłomieja Lipińskiego. Nowym graczem został natomiast środkowy Jakub Nowak. Dla świeżo upieczonego reprezentanta Polski będzie to debiut w PlusLidze. Do tej pory występował bowiem w Lechii Tomaszów Mazowiecki, zdobywając tytuł najlepszego zawodnika I ligi w sezonie 2024/25. – PlusLiga to spełnienie marzeń – granie z jak i przeciwko zawodnikom topowej klasy będzie niesamowitym przeżyciem, ale traktuję to też jako krok, który sobie zaplanowałem i na który ciężko pracowałem – powiedział siatkarz.

(mic)



Fot. Piotr Matusewicz / Press Focus

Norwid szykuje się do skoku na Europę.

Nowi na Chicago

Selekcjoner Nikola Grbić na turniej w Chicago dokonał czterech zmian w składzie.

LIGA NARODÓW MĘŻCZYZN

Biało-czerwoni w pierwszym turnieju LN w Chinach odnieśli komplet zwycięstw, pokonując Holandię, Japonię, Turcję i Serbię. Zrobili to w eksperymentalnym zestawieniu, bez wicemistrzów olimpijskich z Paryża, za to z kilkoma debiutantami, Kewinem Sasakiem, Maksymilianem Granicznym czy Aleksiejem Nasewiczem.

Mimo dobrych wyników trener Nikola Grbić tuż po zakończeniu zawodów zapowiedział, że na kolejny turniej dokona zmian i w porównaniu do składu z Chin są cztery nowe nazwiska. Do kadry wrócił wicemistrz olimpijski, przyjmujący Kamil Semeniuk. Pierwotnie do USA miał polecieć Bartosz Bednorz, lecz wszystko wskazuje na to, że nie wyleczył jeszcze kontuzji łydki. Po raz pierwszy w sezonie w reprezentacji wystąpią też rozgrywający Marcin Komenda, środkowy Sebastian Adamczyk oraz atakujący Bartosz Gomułka.

Polacy do Chicago wyruszą w sobotę. Turniej odbędzie się w dniach 25-29 czerwca. Biało-czerwoni zagrają w środę z Włochami (19.30), w sobotę z Kanadą (2.30) oraz w niedzielę z USA (2.30) i Brazylią (23.00).

(mic)

KADRA

Rozgrywający
Marcin Komenda, Łukasz Kozub
Przyjmujący
Artur Szalpuk, Rafał Szymura, Kamil Semeniuk, Michał Gierżot
Środkowi
Sebastian Adamczyk, Szymon Jakubiszak, Mateusz Poręba, Jakub Nowak
Atakujący
Kewin Sasak, Bartosz Gomułka
Libero
Mateusz Czunkiewicz, Maksymilian Graniczny

Sport 4afc18060c



Fot. NHL

Panthers niemal w komplecie tuż po odebraniu Pucharu Stanleya.

Elitarna Florida

Drużyna jest odpowiednio zbalansowana, a grę obronną opanowała do perfekcji – to podstawa powtórnego sukcesu.

NHL

Zdobycie Pucharu Stanleya jest niezwykle trudne, a jego obrona trudniejsza. – To zaszczyt być częścią takiej grupy. To niesamowita i zarazem elitarne drużyna – wyjawił Sam Bennett, zdobywca Conn SmytheTrophy, czyli MVP play offu. Trudno z tym się nie zgodzić, wszak Florida Panthers należy do elity w erze salary cap (pułap wynagrodzeń od 2005/06). Zrównali się z Tampa Bay Lightning (2020 i 2001) oraz Los Angeles Kings, którzy trofeum zdobyli również dwa razy, ale w ciągu trzech lat (2012 i 2014). Jeszcze dobrze nie przebrzmiały echa minionego sezonu, a już wielu komentatorów zastanawia się, czy Pantery stać na wygranie PS trzy lata z rzędu, bo nikt w ciągu ostatnich dwóch dekad tego nie dokonał. Owszem, dwie ekipy – Pttsburgh Penguins (2009, 2016 i 2017) i Chicago Blackhawks (2010, 2013 i 2015) – to uczyniły, ale było to rozłożone w czasie.

Bill Zito, dyrektor generalny Floridy zadbał o przyszłość i drużyna jest przygotowana na kolejne wyzwania. Od 1 lipca czterech graczy, napastnicy Sam Bennet i Brad Marchand oraz obrońcy Aaron Ekbald i Nate Schmidt, będzie miało swobodę wyboru, bo kończą im się kontrakty. Jednak pozostałe ważne postacie zostają w zespole. Siergiej Bobrowski podpisał umowę do następnego sezonu, a inne asy mają kontrakty długoterminowe – to kapitan Aleksander Barkow (5 sezonów), napastnicy Anton Lundell (5), Sam Reinhart (7), Matthew Tkachuk (5) i Carter Verhaeghe (8) oraz obrońcy Gustav Forsling (7) i Seth Jones (5).

Przed sezonem klub rozstał się z kilkoma zawodnikami, m.in. z Oliverem Ekmanem-Larssonem, Brandonem Montourem, Kevinem Stenlundem i Władimirem Tarasienką, jednak skład został uzupełniony przez Schmidta i napastników A. J. Greera i Tomasa Noska, a w kolejnym okienku transferowym doszli jeszcze Jones i Marchand.

Pantery trzeci raz z rzędu awansowały do finału i rozegrały 313 meczów łącznie w tych sezonach. Ponadto ośmiu zawodników Floridy ma obowiązki reprezentacyjne. Tkachuk, dla przykładu, występował w reprezentacji USA i doznał kontuzji. Od lutego leczył uraz i wrócił, z dobrym skutkiem, na play off. W sezonie olimpijskim będzie podobnie, bo wielu zawodnikom dojdą właśnie reprezentacje. Drużyna ma równowagę, głębię składu i jest odpowiednio zbalansowana. Pantery zdobyły 94 gole w play offie i zajmują 4. miejsce w historii NHL. Pięciu, o czym już wspominaliśmy, najlepszych strzelców różniło się o punkt, a sześciu graczy miało co najmniej 20 punktów. Ponadto 11 zawodników miało dwucyfrową liczbę punktów, a 19 graczy zdobywało bramki. Stąd też Florida miała przewagę nad Nafciarzami z Edmontonu ze snajperskim gwiazdorskim duetem z 33 punktami: Connorem McDavidem (17 goli+16 asyst) i Leonem Draisaitlem (11+22). Ponadto Barkow i spółka mają opanowaną grę obronną do perfekcji i ten zespół nie ma sobie równych w tym elemencie w lidze. Fin otrzymał nagrodę Selke Trophy dla najlepszego napastnika zaangażowanego w defensywie.

Hokeiści i trener Paul Maurice na każdym kroku podkreślają, że przez ostatnie trzy sezony to była ciężka harówka, ale najważniejsza, że zakończona sukcesami.

(ws)

KADRA MISTRZÓW

- **Bramkarze**: 31. Coopeer Black (24 lata, USA), 41. Vitek Vaneček (29, Czechy), Siergiej Bobrowski (36, Rosja).
- **Obrońcy**: 2. Tobias Bjoernfot (24, Szwecja), 3. Seth Jones (30, USA), 3. Matt Kiersted (27, USA), 5. Aaron Ekbold (29, Kanada), 7. Dmitrij Kulikow (34, Rosja), 8. Jaycob Megna (32, USA), 26. Ulvis Janis Balinskis (28, Łotwa), 27. Gustav Forsling (29, Szwecja), 77. Niko Mikkola (29, Finlandia), 88. Nate Schmidt (33, USA), 96. Mikulas Hovorka (23, Czechy).
- **Napastnicy**: 8. Nico Sturm (30, Niemcy), 9. Sam Bennett (29, Kanada), 10. A. J. Greer (28, Kanada), 12. Jonah Gadjovich (26, Kanada), 13. Sam Reinhart (29, Kanada), 15. Anton Lundell (23, Finlandia), 16. Aleksander Barkow (29, Finlandia), 17. Evan Rodrigues (31, Kanada), 19. Matthew Tkachuk (27, USA), 20. Jesse Puljujaervi (27, Finlandia), 22. Zac Dalpe (35, Kanada), 23. Carter Verhaeghe (29, Kanada), 24. Justin Sourdif (23, Kanada), 25. Eetu Luostarinen (26, Finlandia), 32. Wilmer Skoog (25. Szwecja), 44. Mackenzie Entwistle (25, Kanada), 56. Joshua Davies (21, Kanada), 63. Brad Marchand (37, Kanada), 67. William Lockwood (27, USA), 70. Jesper Boqvist (26, Szwecja), 74. Rasmus Asplund (27, Szwecja), 76. Ryan McAlister (23, Kanada), 83. Oliver Okuliar (25, Słowacja), 92. Tomas Nosek (32, Czechy), 95. Sandis Vilmanis (21, Łotwa), 97. Kai Schwindt (21, Kanada).
- **Trener** Paul Maurice (58 lat).

Wszystko jest do wygrania

KAJAKARSTWO

Kanadyjkarz Wiktor Głazunow wygrał wczoraj półfinał jedynek na 500 m w mistrzostwach Europy rozgrywanych w czeskich Racicach i wystąpi w finale. Nie powiodło się natomiast kajakarzom Przemysławowi Korsakowi w K1 500 m i Alexowi Boruckiemu w K1 1000 m – obaj popłyną w finałach B.

Piątek na mistrzostwach dla większości polskich reprezentantów był dniem wolnym od startów. A to dlatego, że dzień wcześniej Biało-czerwoni spisali się doskonale w przedbiegach i bezpośrednio zakwalifikowali się do finałów. Łącznie 10 osad zagwarantowało sobie udział w medalowych wyścigach. Z kolei dwójka kanadyjkowa Dorota Borowska, Sylwia Szczerbińska wystąpi w finałach na 200 i 500 m bez konieczności startu w eliminacjach. W tych konkurencjach do rywalizacji zgłosiła się mała liczba załóg.

Głazunow, lider polskiej grupy kanadyjkarzy, w czwartek zapewnił sobie udział w finale jedynek na 1000 m, a w piątek wygrał półfinał na dystansie o połowę krótszym. Zawodnik AZS AWF Gorzów Wlkp. wystąpi łącznie w trzech finałach, bowiem zgłosił się również do wyścigu na 5000 m.

Nie powiodło się Boruckiemu, który na olimpijskim dystansie 1000 m zajął siódme miejsce i powalczy o lokaty 10-18. Podobnie jak Korsak, który startował na 500 m i był piąty. Trener kadry kajakarzy Ryszard Hoppe mógł być jednak zadowolony ze startów swoich podopiecznych, bowiem dwójka (Valerii Vichev, Borucki) i czwórka spisały się w eliminacjach bardzo dobrze.

– Dużym pozytywnym zaskoczeniem są starty w dwóch olimpijskich konkurencjach, czyli K2 na 500 metrów i K4 na tym samym dystansie. Chłopaki pytali, jak mają popłynąć, a ja odpowiedziałem, że tak, jak na eliminacjach w Poznaniu i spełnili wszystkie założenia. Jeśli obie osady popłyną właśnie tak, jak wtedy, to myślę, że będą walczyły o strefę medalową. Na razie pokazali, że są doskonale przygotowani, a w finale wszystko jest do wygrania – skomentował szkoleniowiec.

W sobotę przed południem rozegrane zostaną pierwsze finały – w siedmiu wystąpią polskie osady, m.in. kanadyjkarze Oleksii Koliadych (C1 200 m) i Dorota Borowska (C1 200 m) oraz obie czwórki kajakowe na olimpijskim dystansie 500 m.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

SOBOTA 21 CZERWCA

TVP 1
20.05 Przegląd wydarzeń
TVP 3
19.00, 21.50 Przegląd wydarzeń regionalnych
TVP SPORT
8.55 Badminton: finały indywidualnych MP w Bieruniu, 15.30 Piłka nożna: ME U-19 kobiet, studio i Szwecja - Polska, 18.00 ME U-21 mężczyzn na Słowacji, Portugalia – Holandia, 20.25 Mecz legend Polska - Brazylia, 1.35 Boks w Newark, waga średnia Vito Mielnicki Jr - Kamil Gardzielik, ciężka: Damian Knyba - Marcin Siwy (na żywo), 23.00 Sportowy wieczór
POLSAT SPORT 1
11.35 Piłka ręczna: MŚ U-21 mężczyzn, Argentyna - Brazylia, 14.45 Siatkówka: LN kobiet, Dominikana - Brazylia, 18.20 Piłka ręczna: MŚ U-21, Norwegia - Polska, 21.00 UFC Fight Night: Jamahal Hill - Khalil Rountree Jr (na żywo)
POLSAT SPORT 2
10.15 Siatkówka: LN kobiet, Czechy - Tajlandia, 15.00 Tenis: półfinały ATP w Halle, 18.00 UFC Fight Night, 20.50 Piłka ręczna: MŚ U-21 mężczyzn, Niemcy - Tunezja (na żywo)
POLSAT SPORT 3
14.00 Tenis: finał ATP Challengera w Poznaniu, 17.55 Futbol amerykański: Europejska Liga Futbolu, Nordic Storm - Panthers Wrocław (na żywo)
POLSAT SPORT FIGHT
14.30, 18.00 Wyścigi konne: 5. dzień Royal Ascot, 16.05 Piłka ręczna: MŚ U-21 mężczyzn, Słowenia – Urugwaj, 19.00 FEN 59 w Lubinie: walka Damian Rzepecki - Patryk Duński (na żywo)
POLSAT SPORT PREMIUM 1
14.00 Tenis: półfinały ATP w Londynie, 18.00 UFC Fight Night (na żywo)
POLSAT SPORT PREMIUM 2
8.40, 12.50 Motocyklowe MŚ: GP Włoch, treningi i kwalifikacje w Moto3, Moto2, MotoGP i sprint w MotoGP, 16.20 Siatkówka: LN kobiet, Holandia – USA, 18.20 Piłka ręczna: MŚ U-21 mężczyzn, Dania - Francja (na żywo)
EUROSPORT 1
9.50 Formuła E: ePrix Indonezji, 12.00 Kolarstwo górskie: PŚ w Val di Sole, zjazd, 15.00 Kolarstwo: 7. etap Tour de Suisse, 18.25 Jeździectwo: Global Champions Tour w Paryżu, skoki przez przeszkody (na żywo)
EUROSPORT 2
13.55 Żużel: GP Polski, kwalifikacje, 19.00 Golf: 3. runda Travelers Championship (na żywo)
CANAL+ SPORT
20.55 Pn: 2. liga hiszpańska, Real Oviedo - CD Mirandes, 1.00 BKFC 76: Fort Worth, Tony Soto - Ben Bonner (na żywo)
CANAL+ SPORT 2
12.00 Tenis: półfinały WTA w Berlinie (na żywo)
CANAL+ SPORT 5
13.30 Żużel: Metalkas 2. Ekstraliga, Cellfast Wilki Krosno - Autona Unia Tarnów, 16.00 H.Skrzydlewska Orzeł Łódź - Fogo Unia Leszno, 1.00 BKFC 76: Fort Worth, Tony Soto - Ben Bonner (na żywo)

NIEDZIELA 22 CZERWCA

TVP 1
20.05 Przegląd wydarzeń
POLSAT
19.55 Siatkówka: LN kobiet, Serbia - Polska (na żywo)
TVP 3
19.00, 21.50 Przegląd wydarzeń regionalnych
TVP SPORT
14.20 Lekka atletyka: Halina Konopacka Classic, 17.50 Pn: ME U-21 mężczyzn, Dania - Francja, 20.50 Niemcy - Włochy (na żywo), 23.00 Sportowy wieczór
POLSAT SPORT 1
6.45 Siatkówka: LN kobiet, Bułgaria – Tajlandia, 10.15 Czechy – Japonia, 12.45 Niemcy – Holandia, 14.45 Korea Płd. - Dominikana, 16.50 Koszykówka: Orlen Basket Liga, studio i PGE Start Lublin - Legia Warszawa, 19.30 Siatkówka: LN kobiet, Serbia - Polska (na żywo)
POLSAT SPORT 2
11.00 Cafe Futbol, 15.00 Tenis: finał ATP w Halle, 18.15 Siatkówka: LN kobiet, Turcja - Brazylia (na żywo)
POLSAT SPORT 3
11.15 Siatkówka: LN kobiet, Belgia - Kanada, 13.00 Siatkówka plażowa: Orlen Beach Volley Tour w Toruniu (na żywo)
POLSAT SPORT PREMIUM 1
15.00 Tenis: finał ATP w Londynie, 19.30 Siatkówka: LN kobiet, Serbia - Polska (na żywo)
POLSAT SPORT PREMIUM 2
9.40, 11.00 Motocyklowe MŚ: GP Włoch, rozgrzewka i wyścigi w Moto3, Moto2, MotoGP i sprint w MotoGP, 16.20 Siatkówka: LN kobiet, Francja - USA (na żywo)
EUROSPORT 1
10.45, 13.15 Kolarstwo górskie: PŚ w Val di Sole, cross-country, 15.05 Kolarstwo: 8. etap Tour de Suisse (na żywo)
EUROSPORT 2
14.00, 17.00 Motocross: MŚ w Matterley Basin, wyścigi w MX2, MXGP, 19.00 Golf: finał Travelers Championship (na żywo)
CANAL+ SPORT
16.45 Żużel: PGE Ekstraliga, Stelmet Falubaz Zielona Góra – Krono-Plast Włókniarz Częstochowa, 19.15 Bayersystem GKM Grudziądz - PRES Grupa Developerska Toruń, 2.00 Koszykówka: NBA, Oklahoma City Thunder - Indiana Pacers (na żywo)
CANAL+ SPORT 2
12.00 Tenis: finał WTA w Berlinie, 18.25 Koszykówka: liga hiszpańska mężczyzn, Real Madryt - Valencia Basket (na żywo)
CANAL+ SPORT 5
12.30 Żużel: Metalkas 2. Ekstraliga, Moonfin Malesa Ostrów Wlkp. - Hunters PSŻ Poznań, 15.00 Autona Unia Tarnów - Abramczyk Polonia Bydgoszcz, 17.15 PGE Ekstraliga: Stelmet Falubaz Zielona Góra - Krono-Plast Włókniarz Częstochowa (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny
Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport 4afc18060c

Powalczy o finał!

Magda Linette wzięła rewanż na Clarze Tauson i awansowała do półfinału Lexus Nottingham Open.

WTA W NOTTINGHAM

Polka nie zatrzymuje się w Lexus Nottingham Open - po pokonaniu Alexandry Eali z Filipin (77. WTA) i Brytyjki z „dziką kartą" Mingge Xu (350. WTA) w ćwierćfinale odprawiła rozstawioną z numerem 2. Clarę Tauson 6:2, 7:5. Notowana na 31. miejscu w rankingu Magda Linette zagra w swoim pierwszym półfinale od lipca 2024, gdy sięgnęła po tytuł w Pradze, a także w pierwszym półfinale w swojej karierze na trawie. I wróci do Top 30.

W piątek w mieście słynnego Robin Hooda 33-letnia poznanianka odgryzła się o prawie 11 lat młodszej Dunce (23. WTA) za nie tak dawny Roland Garros. Pod koniec maja Polka musiała pożegnać się z wielkoszlemowym French Open już w 1. rundzie, przegrywając z Tauson po trzysetowym boju.

Wielki powrót

Teraz też zanosiło się na mecz na maksymalnym dystansie. W pierwszym secie Dunka myliła się na linii serwisu - popełniła aż 5 podwójnych gemów, po drugim serwisie wygrała tylko 2 z 11 punktów, więc nic dziwnego, że świetnie returnująca Linette szybko objęła prowadzenie 2:0, następnie 4:1, a ostatecznie zwyciężyła 6:2.

Znacznie ciekawszy był drugi set. Rozstawiona z „szóstką" Polka znów odskoczyła na 2:0, ale wówczas coś zacięło się w jej grze. Myliła się znacznie częściej, gorzej funkcjonował też jej serwis, co wykorzystała rywalka, który wygrała aż pięć gemów z rzędu. Zrobiło się 2:5 i gdy kibice szykowali się już na trzecią partię... znów obejrzeli całkowity zwrot akcji.

Linette wróciła do swojej pewnej gry, a coraz bardziej zniechęcona Dunka nie była w stanie zamknąć seta. Poznanianka zwyciężyła w pięciu kolejnych gemach i w całej partii 7:5. W krótkim wywiadzie na korcie po meczu podziękowała za wsparcie kibicom, wśród których nie brakowało polskich fanów.

Teraz Ukrainka

W półfinale w sobotnie południe Linette zmierzy się z 46. w rankingu WTA 25-letnią Dajaną Jastremską, która pokonała w ćwierćfinale rozstawioną z „piątką" Kanadyjkę Leylah Fernandez (30. WTA) 6:3, 7:6 (8-6). Polka z Ukrainką mierzyła się dotychczas pięć razy i tylko raz wygrała - rok temu na mączce w Charleston (USA), co ciekawe - po przegraniu pierwszego seta do zera. Poznanianka przegrała ostatnią potyczkę w lutym w Dubaju, a także jedyne spotkanie na trawie, trzy lata temu w nieodległym od Nottingham Birmingham. Ale to może być turniej Polki!

W drugim półfinale zagrają Słowaczka Rebecca Sramkova (38. WTA) oraz McCartney Kessler (42. WTA); Amerykanka wyeliminowała Brytyjkę Katie Boulter, która w Nottingham wygrała ostatnie dwie edycje.

Cud Sabalenki

W ćwierćfinale WTA 500 w Berlinie - gdzie w 2. rundzie odpadła Magdalena Fręch - przetrwała liderka rankingu Aryna Sabalenka. Białorusinka obroniła 4 piłki meczowe w tie-breaku trzeciego seta z Jeleną Rybakiną (11. WTA) i ostatecznie wygrała 7:6 (8-6), 3:6, 7:6 (8-6). Reprezentantka Kazachstanu zaserwowała 14 asów, miała więcej tzw. winnerów (45 do 29), a mimo to zeszła z kortu pokonana...

Tomasz Mucha



Fot. SPP/SIPA USA/PressFocus

Magda Linette wygrała już w mieście Robin Hooda trzy mecze.

SINNER SŁABY W HALLE

■ Lider światowego rankingu Jannik Sinner odpadł już w 2. rundzie (1/8 finału) turnieju ATP 500 na trawiastych kortach w Halle. To pierwszy raz, kiedy Włoch nie dotarł do finału od czasu Montrealu w sierpniu ubiegłego roku. Broniący w Halle tytułu 24-letni Tyrolczyk przegrał z reprezentantem Kazachstanu Aleksandrem Bublikiem 6:3, 3:6, 4:6. Była to pierwsza porażka Sinnera z graczem spoza czołowej „20" światowego rankingu od 66 meczów i sierpnia 2023, kiedy w Cincinnati uległ 66. wtedy na liście ATP Serbowi Dusanowi Lajoviciowi.
28-letni Bublik, zajmujący do tej pory 45. lokatę na liście WTA, już raz wcześniej pokonał Sinnera... w Halle w 2023 roku, kiedy sam sięgał po swój największy tytuł w karierze. Ale trzy tygodnie temu w ćwierćfinale niedawnego French Open na kortach ziemnych Bublik ugrał z Włochem ledwie 6 gemów w trzech setach. W Halle się nie zatrzymał - w ćwierćfinale pokonał Czecha Tomasa Machaca 7:6 (7-2), 6:3 . Rok temu w finale Sinner pokonał Huberta Hurkacza, który wygrał turniej w 2022 roku, a teraz wycofał się przed meczem 1. rundy.

Iga wchodzi na trawę

Już w niedzielę rusza trzeci turniej rangi WTA 500 na kortach trawiastych (po londyńskim Queens Club i Berlinie) - i zarazem ostatni przed wielkoszlemowym Wimbledonem - w Bad Homburg. To stosunkowo nowa impreza, do kalendarza WTA dołączyła w 2021 roku. Pierwszą mistrzynią była niemiecka supergwiazda z polskimi korzeniami i była numer 1 na świecie Angelique Kerber, która w tym roku została dyrektorem sportowym turnieju, a przed tygodniem powitała na świecie drugie dziecko, synka Bena (Angie ma też 2-letnią córkę Lianę). To tutaj - po porażce pod koniec maja w półfinale Rolanda Garrosa - wraca do rywalizacji Iga Świątek (8. WTA). Najlepsza polska tenisistka przygotowywała się na kortach trawiastych w Santa Ponca na Majorce, od czwartku ćwiczyła już w Niemczech.
Dwa lata temu raszynianka była w półfinale w Bad Homburg, ale wtedy impreza miała niższą rangę, WTA 250. Teraz Iga będzie rozstawiona z czwórką i rozpocznie zmagania od 2. rundy - albo z 37-letnią Niemką Laurą Siegemund (106. WTA), albo z kwalifikantką. W Niemczech zagra również Magdalena Fręch (25. WTA) i na otwarcie spotka się z „dobrą znajomą" Magdy Linette (patrz obok), czyli Dunką Clarą Tauson (23. WTA). Szybki telefon do koleżanki na pewno nie zaszkodzi. Polki są w przeciwległych połówkach drabinki, mogą spotkać się dopiero w finale.
Tytułu będzie broniła Rosjanka Diana Sznajder (12. WTA), z „jedynką" rozstawiona jest światowa „trójka" Amerykanka Jessica Pegula, z Top 10grają też Włoszka Jasmine Paolini (5. WTA), Rosjanka Mirra Andriejewa (7. WTA) i Amerykanka Emma Navarro (9. WTA).

(t)

W mieście świateł polskie gwiazdy nie rozbłysły

Bez sukcesów naszych lekkoatletów w paryskim mityngu Diamentowej Ligi.

LEKKA ATLETYKA

Komplet ponad 19 tysięcy widzów na stadionie Charlety dopingował uczestników ósmego etapu lukratywnego cyklu. Skromna polska ekipa odegrała role drugorzędne. Pia Skrzyszowska zamknęła stawkę w biegu na 100 m przez płotki, choć znów urwała 1 setną sekundy ze swojego najlepszego rezultatu w sezonie, który od piątku wynosi 13,67 sek. Po raz trzeci w DL wygrała rewelacyjna rówieśniczka warszawianki, 24-letnia Amerykanka Grace Stark z czasem 13,21, bijąc rekord mityngu z 33-letnią brodą Rosjanki Ludmiły Narożilenko. Druga była rekordzistka świata (12,12) Nigeryjka Tobi Amusan – 12,24.
Maria Żodzik nie powtórzyła sukcesu sprzed tygodnia ze Sztokholmu, gdzie była trzecia w skoku wzwyż z wynikiem 1,93 m; tym razem reprezentantka Polski po zaliczeniu 1,83 i 1,88 trzykrotnie strąciła 1,91 i wylądowała poza ósemką.
Natalia Bukowiecka zapewne śledziła „zaocznie" rywalizację na 400 m z udziałem dwóch gigantek, które wyprzedziły ją rok temu na igrzyskach w stolicy Francji. Srebrna wówczas Salwa Eid Naser z Bahrajnu do końca naciskała Marileidy Paulino, ale minimalnie – o 4 setne sekundy! – znów lepsza była mistrzyni olimpijska. Trzecia Martina Weil czasem 48,93 pobiła rekord Chile.
Najlepsze wyniki na świecie w tym sezonie uzyskali Francuz Azeddine Habz na 1500 m – 3:27,49 min. i Kenijka Faith Cherotich na 3000 m z przeszkodami – 8:53,37, w czym udział miała nadająca tempo Agnieszka Chorzępa. Patryk Sieradzki szybko poprowadził bieg na 800 m, w którym reprezentujący Hiszpanię Mohamed Attaoui pokonał faworyzowanego halowego mistrza świata Amerykanina Josha Hoeya. Niespełna rok po pobiciu na tym samym stadionie rekordu świata w skoku wzwyż (2,10 m) prestiżowej porażki doznała Jarosława Mahuczich; po raz drugi z rzędu Ukrainkę – tylko 1,97 – pokonała dwumetrową próbą Australijka Nicola Olyslagers.
Następne zawody z cyklu odbędą się 5 lipca w amerykańskim Eugene.

ZWYCIĘZCY DL W PARYŻU

KOBIETY. 200 m - Anavia Battle (USA) 22,27; 400 m - Marileidy Paulino (Dominikana) 48,81; 1500 m - Nelly Chepchirchir (Kenia) 3:57,02; 100 m ppł. - Grace Stark (USA) 12,21... 8. Pia Skrzyszowska 12,67; 3000 m przeszk. - Faith Cherotich (Kenia) 8:53,37; wzwyż - Nicola Olyslagers (Australia) 2,00... 9. Maria Żodzik 1,88; tyczka - Katie Moon (USA) 4,73; dysk - Valarie Allman (USA) 67,56.
MĘŻCZYŹNI. 800 m - Mohamed Attaoui (Hiszpania) 1:42,73; 1500 m - Azeddine Habz (Francja) 3:27,49 min; 5000 m - Yomif Kejelcha (Etiopia) 12:47,84; 110 m ppł. - Trey Cunningham (USA) 13,00; 400 m ppł. - Rai Benjamin (USA) 46,93; 3000 m przeszk. - Lamecha Girma (Etiopia) 8:07,01; trójskok - Jordan Scott (Jamajka) 17,27; oszczep - Neeraj Chopra (Indie) 88,16. **(t)**

WYDERKA TRZYMA POZIOM

■ Podczas zawodów w Pergine Valsugana (Włochy) Maciej Wyderka, który w niedzielę pierwszy raz w karierze złamał 1:45 (1:44.63 w Sopocie), wygrał bieg na 800 m rezultatem 1:44,72 min. 23-letni lekkoatleta z Piekar Śląskich (AZS AWF Katowice) nie został powołany na przyszłotygodniowe Drużynowe ME w Madrycie; Polskę reprezentował będzie w tej konkurencji Bartosz Kitliński (w tym roku 1:44,77).

Sport 4afc18060c

Kierunek Gorzów

W sobotę Bartosz Zmarzlik może przybliżyć się do szóstego tytułu indywidualnego mistrza świata.

GRAND PRIX POLSKI

Zawodnik Orlen Oil Motoru Lublin będzie bezsprzecznym faworytem gorzowskiej imprezy. Tor na Stadionie im. Edwarda Jancarza, na którym przecież się wychował, zna jak własną kieszeń. Forma naszego mistrza również jest bardzo wysoka, co potwierdza fakt, że zajmuje fotel lidera klasyfikacji generalnej Grand Prix, a drugi, Brady Kurtz, traci do niego już 11 punktów. Zwycięstwo Zmarzlika z pewnością ucieszyłoby miejscowych fanów, bo choć nie reprezentuje barw gorzowskiej Stali od sezonu 2023, w dalszym ciągu jest lubiany i mile wspominany przez tamtejszych kibiców, którzy z pewnością mocno trzymają kciuki za swojego idola.

Stanie mistrzowi na drodze?

Wydaje się, że największym przeciwnikiem Zmarzlika w rywalizacji o triumf w Gorzowie będzie właśnie Kurtz. Australijczyk również prezentuje znakomitą dyspozycję w tegorocznej GP, choć nie zwyciężył w ani jednym turnieju. Niemal we wszystkich dotychczasowych rundach awansował do wyścigów finałowych. „Kangurowi" nie poszczęściło się jedynie w Pradze (31 maja), gdy w półfinale został wyprzedzony przez – startującego w zastępstwie za Jasona Doyle'a – Leona Madsena. Na dodatek Kurtz upadł tuż przed metą. Niespełna 29-latek chce wreszcie pokusić się o upragnioną wygraną w IMŚ. Należy spodziewać się, że będzie do tego dążył już w sobotni wieczór, jednak, biorąc pod uwagę fakt, że dominatorem gorzowskiej nawierzchni jest przede wszystkim Zmarzlik, Kurtzowi może być trudno. Żużel bywa jednak nieprzewidywalny. W przeszłości sposób na pokonanie Zmarzlika na słynnym Jancarzu znalazł już choćby Fredrik Lindgren, który triumfował tam rok temu.

Wychowanek z „dziką kartą"

Dobrą wiadomością dla sympatyków speedwaya w Gorzowie jest to, że „dziką kartę" na te zawody otrzymał junior miejscowej Gezet Stali, Oskar Paluch. Organizatorzy, zapraszając 19-latka do udziału w turnieju, mieli z pewnością na uwadze, że na stadionie przy ulicy Kwiatowej osiąga w bieżącym roku znakomite rezultaty w ekstralidze. Niejednokrotnie w meczach domowych odgrywał rolę jednego z liderów Żółto-niebieskich, zapisując dwucyfrowe zdobycze punktowe. Można zatem przypuszczać, że widzowie będą liczyć na podobny występ wychowanka Stalowców 21 czerwca. Paluch na pewno będzie się starał wywalczyć jak najlepszy rezultat. Dodajmy, że to nie będzie pierwszy start tego młodego zawodnika w Grand Prix na owalu w Gorzowie. Okazję do uczestnictwa miał w ubiegłym sezonie, kiedy startował jako rezerwowy. Wtedy udało mu się wyjechać dwa razy na tor, ale żadnych „oczek" nie przywiózł. Teraz stanie przed szansą poprawy wyniku.

Początek turnieju zaplanowano na 19.00. Na pięć godzin przed rozpoczęciem zawodów odbędą się kwalifikacje w formie sprintu. Czterech żużlowców z najlepszymi czasami zainkasuje punkty, które będą liczone do klasyfikacji generalnej.

Uczestnicy GP w Gorzowie: Bartosz Zmarzlik, Brady Kurtz (Australia), Fredrik Lindgren (Szwecja), Jack Holder (Australia), Daniel Bewley (Wielka Brytania), Andrzej Lebiediew (Łotwa), Max Fricke (Australia), Robert Lambert (Wielka Brytania), Dominik Kubera, Martin Vaculik (Słowacja), Mikkel Michelsen (Dania), Anders Thomsen (Dania), Jan Kvech (Czechy), Kai Huckenbeck (Niemcy), Jason Doyle (Australia), Oskar Paluch; rezerwowi: Bartłomiej Kowalski i Kevin Małkiewicz.

Norbert Giżyński



Fot. Paweł Jaskółka / Press Focus

Bartosz Zmarzlik doskonale zna gorzowski tor, bo właśnie na nim się wychował.

Drabik i długo nic

W piątkowy wieczór na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu spotkały się drużyny z przeciwnych biegunów.

PGE EKSTRALIGA

Jeszcze przed rozpoczęciem meczu nie było trudno wskazać faworyta. Była nim oczywiście miejscowa Betard Sparta. Już od początku starcia wicemistrzowie Polski wywiązywali się z tej roli. Trzy pierwsze wyścigi padły łupem gospodarzy po 5:1. Seria biegowych zwycięstw Spartan została przerwana w czwartej gonitwie. Bardzo dobrze pierwsze pole startowe wykorzystał Maksym Drabik, który od razu objął prowadzenie i pomknął po pierwszą „trójkę". Drugi do mety dojechał Bartłomiej Kowalski. Sporą robotę wykonał także junior przyjezdnych, Paweł Trześniewski, przywożąc za plecami swojego rówieśnika z przeciwnej strony barykady, Nikodema Mikołajczyka. Wrocławianie kontynuowali natarcie, po raz kolejny udowadniając dominację na własnym torze. Tak naprawdę kwestią czasu było zwycięstwo Sparty w tym spotkaniu. Mogło paść jedynie pytanie, kiedy miejscowi definitywnie zagwarantują sobie komplet ligowych punktów (dwa meczowe i bonusowy za wygrany dwumecz). Podopieczni Dariusza Śledzia pewni triumfu byli już po 11. biegu, gdy prowadzili 45:21.

Wśród gości opór miejscowym stawiał Drabik, który zdobył 14+1 pkt w sześciu startach. Wychowanek Włókniarza Częstochowa potrafił wyprzedzać rywali na dystansie, ponadto uzyskał najszybszy czas w zawodach (62,42 w 4. wyścigu). Dyspozycja kapitana Innpro ROW-u nie musiała nikogo dziwić, w końcu przez sześć sezonów (2015-20) reprezentował żółto-czerwone barwy. To właśnie w czasie jazdy dla wrocławskiego klubu osiągał największe sukcesy jak np. dwa złota indywidualnych mistrzostw świata do lat 21 (2017 i 2019). Tym samym Drabik jr efektywnie wykorzystał swoją wiedzę na temat obiektu w stolicy Dolnego Śląska.

■ Betard Sparta Wrocław – Innpro ROW Rybnik 57:33 (107:73)

WROCŁAW: Kurtz 12 (3, 3, 3, 3, -), Kowalski 7+1 (2, 2*, 1, 2, 0), Artiom Łaguta 10+1 (2*, 3, 1, 3, 1), Bewley 7 (3, 1, 3, 0) Janowski 10+2 (2*, 1, 3, 1*, 3) Mikołajczyk 4 (3, 0, 1, 0), Krawczyk 7+2 (2*, 3, 2*) Kowolik ns.

RYBNIK: Nicki Pedersen 1 (1, 0, 0, -, -), Czugunow 10 (0, 2, 2, 1, 2, 3), Jesper Knudsen 0 (0, 0, -, -) Drabik 14+1 (3, 2, 2, 2, 3, 2*), Tungate 6+2 (1, 1, 2, 1*, w/t, 1*), Trześniewski 1 (0, 1, 0, 0), Tkocz 1 (1, 0, 0), Pludra 0 (0).

■ Orlen Oil Motor Lublin – Gezet Stal Gorzów 55:35 (109:71)

LUBLIN: Kubera 10+2 (1, 3, 2*, 2*, 2), Lindgren 8+1 (1*, 1, 3, 2, 1), J. Holder 11+1 (3, 3, 2*, 3, -), Cierniak 7 (1,0,3,3), Zmarzlik 9 (3,3,3,-,-), Przyjemski 8 (3,2,1,2), Jaworski 2+1 (2*,0,0) Bańbor 0 (0,0).

GORZÓW: Lebiediew 4+1 (2,1*,d,1,d), Fajfer 8 (0,2,1,2,3), Vaculik 9+1 (0,1*,2,3,3) Thomsen 6 (3,2,0,0,1), Krok 1 (-,0,0,1), Chattas 0 (d,0,-), Paluch 7+1 (1,2,2,1,1*), Bednar ns.

1. Motor (m)	9	18	+136
2. KS Toruń	8	11	+36
3. Sparta	8	11	+63
4. GKM	8	9	+26
5. Falubaz	8	9	-43
6. Włókniarz	7	6	+15
7. Stal	9	5	-98
8. ROW (b)	9	2	-135

W niedzielę, 22.06., jadą: Stelmet Falubaz Zielona Góra - Krono-Plast Włókniarz Częstochowa (17.00), Bayersystem GKM Grudziądz - Pres Grupa Deweloperska Toruń (19.30).

Norbert Giżyński

Powrót lidera pomoże?

Częstochowianie w niedzielę będą się ścigać na torze rywala, który aspiruje do play offu PGE Ekstraligi.

KRONO-PLAST WŁÓKNIARZ CZĘSTOCHOWA

Faworytem niedzielnej batalii bez wątpienia jest Stelmet Falubaz Zielona Góra, który od czterech spotkań nie zaznał goryczy porażki. Motomyszy prezentują się tak, jak oczekiwali przed startem sezonu eksperci, i zajmują czwarte miejsce w tabeli. Zielonogórzanie zamierzają wykonać kolejny krok w stronę fazy finałowej rozgrywek. Trzeba jednak pamiętać, że Włókniarz bardzo dobrze spisuje się na tamtejszym obiekcie. Ostatni raz częstochowianie w Grodzie Bachusa przegrali w... 2019 roku w drugiej batalii o brązowy medal drużynowych mistrzostw Polski 44:45, ale na podium pozostali ze względu na lepszy bilans dwumeczu. Choć żużlowcy z Lubuskiego nie kryją się z zamiarem zwycięstwa, nie lekceważą najbliższych rywali. Lwy również szukają punktów, gdzie tylko można, by mogły powalczyć o jak najwyższe miejsce. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę junior Falubazu, Damian Ratajczak. – Chcemy wygrać, czego nie ukrywam, ale taki cel przyświeca też na pewno Włókniarzowi. Będziemy więc robić wszystko, by zgarnąć całość punktów, ale co będzie, zweryfikuje tor. Będziemy przygotowywać się najlepiej, jak potrafimy, aby odjechać dobry mecz i, mam nadzieję, przechylić szalę zwycięstwa na naszą korzyść – mówił Ratajczak.

W składzie częstochowskiej ekipy ponownie widnieje nazwisko Jasona Doyle'a. Co ciekawe, Australijczyk nie będzie prowadzącym parę, bo wystartuje pod numerem 4. Do jazdy mistrz świata z 2017 r. powrócił podczas obu rund Grand Prix w Manchesterze (13-14 czerwca). Występował również w poniedziałkowym meczu brytyjskiej SGP Premiership pomiędzy King's Lynn Stars a Ipswich Witches. Mimo że Kangur skutecznie zapunktował w dwóch biegach (łącznie 5 „oczek"), więcej na torze się już nie pojawił. Pod Jasną Górą zaczęto się zatem obawiać o udział Doyle'a w Zielonej Górze. Gdy po wtorkowym meczu w ramach U24 Ekstraligi Włókniarza – także przeciwko Falubazowi – pytaliśmy o stan zdrowia zawodnika i ewentualną możliwość jego startu w najbliższej potyczce trenera częstochowian, Mariusza Staszewskiego, ten po chwili oznajmił: - Ciężko powiedzieć. Po środowym treningu szkoleniowiec postanowił powołać Jasona na wyjazdowe starcie w Winnym Grodzie.

Po kilku tygodniach przerwy spowodowanej kontuzją w środę na motor wsiadł także młodzieżowiec Lwów, Szymon Ludwiczak. Na Facebooku żużlowiec poinformował o swoich pierwszych jazdach po urazie. Wyznał jednocześnie, że przygotowuje się do następnych zawodów, jednak nie podał konkretnie jakich. Na razie parę juniorską ekipy z Częstochowy w niedzielne popołudnie mają tworzyć Franciszek Karczewski -Kacper Halkiewicz, jednakże niewykluczone, że dojdzie do zmiany, tym bardziej że sam trener Staszewski wyznał, że ma nadzieję na jak najszybszy powrót Ludwiczaka.

Norbert Giżyński

Sport 4afc18060c



Wojciech Kuczok

WYMIANA KOSZULEK

Znaki czasu

Najeżdżę się do tej Żyliny. Na razie obejrzałem dwukrotne bęcki kadry U-21, ale być może w lipcu Raków odczaruje ten sympatyczny stadionik, pamiętający przecież nawet Ligę Mistrzów. Piętnaście lat temu pod Dubniem strzelali gole tacy kozacy jak Nicolas Anelka, Mikael Essien czy Daniel Sturridge, a piłkę z siatki wyjmował Petr Cech – co prawda przygoda z Champions League zakończyła się dla Słowaków bez zdobyczy punktowych, ale kibice mają co dziatkom/wnukom opowiadać. Na trybunach górale beskidzcy czują się swojsko, zwłaszcza ci z Żywca, bo tamtejszy Góral, obecnie tułający się po klasie A, zakapiorów ma pierwszorzędnych i sztamą z żylińskim MKS-em się chlubi. Nawet barwy klubowe się zgadzają – na północnych sektorach dominują zieleń i żółcień. Podczas meczu Polski z Francją dominowała żółć w komentarzach naszych kibiców, bo chłopcy Adama Majewskiego wyglądali jak ekipa ze znacznie młodszego rocznika. Odbijali się od rosłych czarnoskórych mężczyzn, dawali przepychać, nawet nasz największy harcownik Fornalczyk został parę razy bezlitośnie zgaszony przez rywala i odechciało mu się hasać. To była różnica klas nie tylko w kulturze gry, ale i nade wszystko różnica w przygotowaniu fizycznym – pierwsza połowa miała charakter nieuniknionej egzekucji, dostaliśmy trzy bramki i nie wyglądało to jak gwałt, ale konsensualny stosunek analny – Polacy od początku byli gotowi do przyjmowania kolejnych sztychów, nawet nie próbowali się bronić. W dodatku przy pierwszym golu kolejny z naszych bramkarzy się wygłupił. Zawsze mieliśmy na pociechę chociaż świetnych tormanów, ale teraz i na tej pozycji przyszłość rysuje się niewyraźnie: Tobiasz i Trelowski pozawalali haniebnie gole, następców Szczęsnego i Fabiańskiego nie widać. Ale, ale, może zanadto się zżymam, wszak drugą połowę nasze orlęta zremisowały! Mogły nawet wygrać, gdyby VAR nie wychwycił spalonego, ale Francuzi nonszalancko zmarnowali tyle setek, że byłby to wynik wysoce niesprawiedliwy. Mamy bowiem piłkarzy bez charakteru, nie mamy drużyny, a skoro po tak katastrofalnym turnieju trener Majewski mówi, że „mimo słabego rezultatu atmosfera była dobra", nie miejmy też nadziei. Urządziliśmy się w pupie. Kiedy Majewski biadoli, że to wszystko przez „kuriozalne bramki", które traciła nasza młodzieżówka, nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Kuriozum jest wtedy, kiedy Polacy strzelają; w golach strzelanych do naszej bramki nie ma niczego nadzwyczajnego, to zjawisko pospolite i występujące masowo.

Ciekawostka: pierwsza jedenastka trójkolorowych składała się w komplecie z graczy czarnoskórych. Signum temporis. Pamiętam przecież, jakby to było wczoraj, hiszpański mundial w 1982 roku, gdzie powszechną uwagę zwracał czarnoskóry rodzynek w ofensywie Les Bleus, Jean Tigana. Ale już przed dwudziestu laty, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Paryż, nieco zmodyfikowałem swoje wyobrażenie stolicy Francji, wyrosłe na melodramatach z Delonem i Deneuve. Zwłaszcza w La Defense, kiedy widziane z dystansu na schodach Grande Arche głowy siedzących obywateli niczym ćwierćnuty na pięcioliniach układały się w dodekafoniczną pieśń o braterstwie. Francuskie dzieciaki cierpliwie czekały z wypisanymi na kartonach prośbami o koszulkę do Lukeby i Tela – obaj nie zagrali, Francja rozjechała nas rezerwami, Tel podbiegł do trybun dopiero po meczu, żeby się z fanami przywitać. Nasze dzieciaki, wychowane na klasykach Primera Division, zakochane w Yamalu i Nico Williamsie, rozpięty na płocie biało-czerwoną flagę z napisem „Vamos Polska". To byłby jakiś pomysł pod rozwagę dla nowego selekcjonera: naturalizować kilkunastu Hiszpanów, Katalończyków lub Basków i z nich stworzyć kadrę. Śmiem przypuszczać, że gdyby dzisiaj przyjęli obywatelstwo polskie wszyscy piłkarze z Półwyspu Iberyjskiego, którzy biegają po naszych boiskach, wstydu by nie było, może i Finom daliby radę. I co z tego, że żaden hiszpański bramkarz u nas nie broni – nawet „randomowy" gracz z pola wstawiony do bramki nie zachowałby się gorzej niż Skorupski w polu karnym.

> *Ciekawostka: pierwsza jedenastka trójkolorowych składała się w komplecie z graczy czarnoskórych. Signum temporis. Pamiętam przecież, jakby to było wczoraj, hiszpański mundial w 1982 roku, gdzie powszechną uwagę zwracał czarnoskóry rodzynek w ofensywie Les Bleus, Jean Tigana.*

Tymczasem śledzę klubowy mundial i mam starczą satysfakcję, trochę jak po opolskich koncertach dedykowanych Jackowi Cyganowi i Wojciechowi Trzcińskiemu. Trochę to wyglądało jak karnawał w DPS-ie, niegdyś nazywano takie imprezy koncertami dinozaurów – klubowe mistrzostwa świata to też trochę jakby wizyta w Parku Jurajskim. Jakże się nie zachwycać wiecznie żwawym Leo Messim, kiedy trafia w okno z wolnego, prowadząc Inter Miami do zwycięstwa nad FC Porto? Jakże się nie wzruszać, że Sergio Ramos wciąż umie się cwanie ustawić i wyskoczyć z dyskretnym wsparciem pleców obrońcy do skutecznej główki? Klubowy mundial oprócz gwiazd w europejskiego topu jest też okazją do zobaczenia piłkarzy, którzy zniknęli nam z radarów za sprawą wieku i wybrali emerytury na słabszym piłkarsko kontynencie, jak Sergio Busquets, Luis Suarez, Edinson Cavani, lub takich, którzy ulegli pokusie zarobienia łatwego petrohajsu, jak Kalidou Koulibaly czy Ruben Neves.

Zanurzam w klubowym mundialu, może nieco z wolna, ale jednak nieubłaganie. Zanurzam się i dziwię tym, co marudzą, bo zalatuje to marudzenie hipokryzją. Zbigniew Boniek fanzoli kocopały, deklarując publicznie bojkot tej imprezy. „Przyrzekłem sobie, że nie obejrzę ani jednego meczu. To dla mnie wyłącznie jakieś... big money. I wydaje mi się, że zawodnicy są tam bardziej na wczasach". Och, wystarczyło zobaczyć mecz Boca Juniors – Benfica, to nie był futbol wczasowy, tylko klasyczna jatka południowców – czerwone kartki, walka, emocje, latynoskie temperamenty i cztery gole. O tym, że nie ma wielkiej piłki bez wielkiej forsy, Boniek wie nie od dzisiaj – FIFA obiecała uczestnikom ciężkie miliony, bo w przeciwnym razie trudno byłoby nakłonić najbogatsze kluby świata, żeby potraktowały tę imprezę poważnie. Najważniejsze, że to nie jest turniej ekip z werbunku w typie superligi. Bezlitosny system kwalifikacji sprawił, że nawet Barcelona się nie dostała na imprezę, co z marketingowego punktu widzenia jest niedopuszczalne. Boniek prezentuje eurocentryczny punkt widzenia, najwyraźniej wielki hajs w rozbudowanej Lidze Mistrzów mu nie przeszkadza, ale kiedy europejskie gwiazdy mają lecieć za ocean, by zagrać z ekipami z innych kontynentów, pojawia się troska o ich zdrowie i przemęczenie. A niby dlaczego najlepiej opłacani piłkarze świata mają się oszczędzać? Żeby jesienią jeszcze łatwiej kopać tyłki na przykład polskim klubom, dobijającym się nieskutecznie do zaszczytnych rozgrywek? Największą niedoskonałością świata futbolu było to, że tylko co drugi czerwiec mieliśmy zajęty wielkim turniejem, a teraz już zostanie tylko jeden martwy sezon na cztery lata. Jestem z tych, którzy na hasło mundial reagują jak muszki owocówki na ocet jabłkowy – natychmiast lecę na zatracenie i tonę w rozkoszy, wpadam w pułapkę, zarywam noce, ha! – dostałem dodatkowy mundial, w dodatku, w dobrym, sprawdzonym formacie 32-zespołowym. Zaprawdę, godne to i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne, że wreszcie tytani muszą grać od początku z maluczkimi, zamiast wchodzić w glorii dopiero na fazę finałową, jak było jeszcze do niedawna w Pucharze Interkontynentalnym i do tej pory w Klubowych Mistrzostwach Świata.



Fot. Mateusz Sobczak / Press Focus

Rekordy są do pobijania!

Pierwszy dzień rozgrywanych w Sobótce mistrzostw Polski zdominowały zawodniczki, na które najbardziej liczyliśmy – zwyciężyły ze sporą przewagą.

Jeszcze dwa-trzy miesiące temu potencjalnym organizatorem rozgrywanych po raz 32. ciężarowych mistrzostw kobiet oraz po raz 95. mistrzostw mężczyzn miał być Kraków. Wywołało to spore zdziwienie, tym bardziej że miasto to nie ma ciężarowych tradycji i całość przedsięwzięcia musiałby wziąć na siebie PZPC.



Fot. Marek Hajkowski

Na pomoście Wiktoria Wołk, a nad jej głową rekordowe 113 kg.

Chłop na schwał

Z pomocą ruszył Mariusz Jędra, były prezes związku, który w grudniowych wyborach powrócił do zarządu w randze wiceprezesa, proponując Sobótkę na Dolnym Śląsku. Medalista mistrzostw świata i olimpijczyk z Sydney (2000) potrafi zjednywać sobie ludzi, a w dorobku ma organizację wielu imprez, z mistrzostwami świata seniorów (2013) i juniorów (2015) we Wrocławiu. – Krajowe zawody to dla Mariusza bułka z masłem, a do tego w rodzinnej miejscowości – dało się słyszeć w okolicach malowniczo położonej Sobótki, ale Jędra – choć to chłop na schwał, emerytowany żołnierz, uczestnik misji ONZ w Libanie – wszystkiego nie mógł wziąć na swoje barki. Z pomocą przyszli więc m.in. miejscowy burmistrz Mirosław Jarosz, a także starosta wrocławski Włodzimierz Chlebosz, zresztą były sztangista i olimpijczyk z Barcelony (1992), okoliczne firmy nie poskąpiły grosza, a dyrekcja Szkoły Podstawowej im. Janusza Korczaka udostępniła salę gimnastyczną. Trzeba ją było podzielić, by poukładać pomosty i wydzielić miejsce dla publiczności.

Po nowemu

W tym roku PZPC świętować będzie 100-lecie, więc zaplanowaną na trzy dni imprezę można było wpisać do programu jubileuszu, których główne obchody zaplanowano na grudzień. Ich początek miał już miejsce podczas uroczystego otwarcia zawodów, kiedy okolicznościowymi medalami uhonorowano bardziej i mniej zasłużonych dla dyscypliny. Całością kierował oczywiście Jędra, dzielnie wspomagany przez szefa federacji, Zdzisława Żołopę. Najważniejsze było jednak to, co działo się przed i po oficjałce. Trzeba wspomnieć, że od trzech tygodni obowiązują nowe kategorie. Władze Międzynarodowej Federacji Podnoszenia Ciężarów (IWF) postanowiły obciąć ich liczbę z 20 do 16; po dwie u kobiet i mężczyzn. Konieczne więc było ustalenie rekordowych standardów, z czym władze związku najzwyczajniej się guzdrały. Dopiero bowiem w trakcie rozgrywania poszczególnych kategorii spikerzy informowali, do jakich wartości mają równać zawodniczki. Jeden z nich – nie mając przed sobą wykazu standardów PZPC – złośliwie nawet zażartował, że każde podejście to... rekord Polski.

Równać do Wiktorii

Prób ich pobicia podjęto trzy, ale tylko jedna była udana. W gronie rekordzistek znalazła się Wiktoria Wołk. Zawodniczce Tarpana Mrocza towarzyszyła Paulina Szyszka, trenerka kadry narodowej, która była przekonana, że jej podopieczna zdoła porzucić 113 kg i po udanej próbie złożyła jej gratulacje. Wołk, już utytułowana zawodniczka, medalistka mistrzostw Europy, zdecydowanie wygrała kategorię 63 kg, a 267,1 pkt według współczynnika Sinclaira stawia ją w gronie kandydatek do czołowych miejsc w kategorii „open" (pozostałe trzy kategorie zostaną rozegrane w sobotę). Wcześniej i później jej rekordowym śladem chciały pójść Oliwia Drzazga (48 kg) i Martyna Dołęga (69 kg), ale pierwsza – mająca w dorobku srebrny medal ME – nie podrzuciła 92 kg, a druga – prowadzona przez ojca Marcina, trzykrotnego mistrza świata – nie wstała ze sztangą ważącą 118 kg. Ale i tak obie zasłużyły na brawa, bo w swoich kategoriach nie miały sobie równych.

Pierwszy dzień mistrzostw na dłużej zapamiętają też Roksana Bukarz i Agnieszka Broncel. Obie łączy postać trenera Jacka Mazura. Roksanę nauczył dźwigać i do niedawna była jego podopieczną w Andaluzji Piekary Śląskie i sięgnęła po pierwsze złoto, a Agnieszka właśnie pod okiem trenera Mazura poczyniła postępy, zdobywając srebro.

WYNIKI

Kat. 48 kg: 1. Oliwia Drzazga (UMLKS Radomsko) 156 kg (68+88), 2. Agnieszka Broncel (Andaluzja Piekary Śląskie) 133 kg (59+74), 3. Agnieszka Kuczmaszewska (Agros Zamość) 129 kg (59+70); **kat. 53 kg:** Ołeksandra Lychobycka (Górnik Polkowice) 161 kg (71+90), 2. Wiktoria Kasielska (Polwica Wierzbno) 151 kg (67+84), 3. Klaudia Luterek (Agros Zamość) 150 kg (70+80); **kat. 58 kg:** 1. Roksana Bukarz (Budowlani Nowy Tomyśl) 180 kg (82+98), 2. Maria Połka (Promień Opalenica) 171 kg (72+94), 3. Monika Dzienis (Talent Wrocław) 170 kg (78+92); kat. **63 kg:** 1. Wiktoria Wołk (Tarpan Mrocza) 203 kg (90+113), 2. Zuzanna Ślipek (Zawisza Bydgoszcz) 191 kg (86+105), 3. Julia Choińska (Klimat Łapy) 188 kg (83+105); **kat. 69 kg**: 1. Martyna Dołęga (Eko-Sport Siedlce) 213 kg (99+114), 2. Wiktoria Gierczuk (AZS AWF Biała Podlaska) 192 kg (92+100), 3. Emilia Rechul (Agros Zamość) 170 kg (75+95).

Marek Hajkowski

Porachunki z Francją

W Wałczu Biało-czerwone powalczą o finał zaplecza pierwszej dywizji.

HOKEJ NA TRAWIE

Zwycięstwa nad Malezją 2:0 i Republiką Południowej Afryki 3:2 oraz remis 1:1 z Urugwajem to bilans polskich laskarek na półmetku Pucharu Narodów 2 rozgrywanego w Wałczu. – Przed turniejem te wyniki brałbym w ciemno – przyznał trener reprezentacji Krzysztof Rachwalski. Biało-czerwone zajęły drugie miejsce w grupie i awansowały do półfinału, w którym zmierzą się z Francją.

– W gronie wszystkich uczestników to my byliśmy reprezentacją najniżej sklasyfikowaną w międzynarodowym rankingu. On jest aktualizowany z dnia na dzień, po trzech dobrych wynikach zdobyliśmy kilkadziesiąt punktów do klasyfikacji. Przeskoczyliśmy Czeszki i zbliżamy się do innych drużyn. Dla budowania pozycji w światowym hokeju ten turniej jest bardzo istotny – dodał selekcjoner.

Dla polskich hokeistek zawody w Wałczu są niezwykle ważne w kontekście mistrzostw Europy drugiej dywizji, które na przełomie lipca i sierpnia rozegrane zostaną w Gnieźnie.

– Puchar Narodów jest najważniejszym etapem przygotowań do mistrzostw Europy, które z kolei są naszą docelową imprezą w tym sezonie. Traktujemy ten turniej również prestiżowo, chcemy wszystko wygrywać. To buduje DNA zespołu – walka od pierwszej do ostatniej minuty bez względu na okoliczności – podkreślił szkoleniowiec.

RPA, Malezja czy Urugwaj to drużyny, z którymi Biało-czerwone rywalizują raz na kilka lat. Rachwalski uważa, że możliwość gry z rywalami spoza kontynentu ma dodatkową wartość.

– Te drużyny reprezentują bardzo wysoki poziom sportowy. Jest to dla nas świetna możliwość rozwoju. Chcemy zbudować strukturę gry na mistrzostwa Europy, doskonalimy obronę, wykonywanie krótkich rogów. Wciąż są rezerwy w naszej grze – tłumaczył selekcjoner.

Rachwalski nie ukrywa, że turniej w Wałczu jest też etapem selekcji, ale trzon drużyny z pewnością już się nie zmieni.

– W 18-osobowej kadrze w Wałczu nie mam kilku zawodniczek, które cały czas walczą o miejsce w składzie na mistrzostwa Europy. Trzon drużyny na pewno jest, mamy też debiutantki, a nasza linia ataku to dziewczyny z roczników 2005-07. 17-letnia Hania Wochna, jedna z najmłodszych reprezentantek, została MVP meczu z Urugwajem. To jest bardzo budujące – zaznaczył.


Fot. PAP / Marcin Bielecki

Ruszamy na Francuzki!

Turniej w Wałczu jest bardzo intensywny – pięć meczów w siedem dni. Niemal identyczny system będzie obowiązywał w mistrzostwach Europy.

– To też dla nas pewne doświadczenie. Fizycznie wyglądamy bardzo dobrze, ale zrezygnowałem z treningów w dni wolne, aby dziewczyny miały świeżość i ochotę do gry. Bo to jest kluczowe – wyjaśnił.

O finał Polki zagrają w sobotę (początek o 18.45) z Francją, która z kompletem punktów zakończyła fazę zasadniczą turnieju. W drugiej parze półfinałowej Walia zmierzy się z Urugwajem.

– Niewątpliwie to najmocniejszy przeciwnik, który w grupie bardzo dobrze sobie radził z Czeszkami, Włoszkami i Walijkami. Mam nadzieję, że postawimy się Francuzkom, a mamy rachunki do wyrównania z ubiegłego roku. W finale kwalifikacji przegraliśmy 0:2 i straciliśmy szansę na awans do mistrzostw Europy pierwszej dywizji. Musimy z większą koncentracją pracować w defensywnie, wytrącać rywalki z rytmu i doprowadzić do tego, by one też zaczęły się denerwować. To jednak Francuzki są faworytem – podsumował szkoleniowiec.

Marcin Pawlicki (PAP)

Sport 4afc18060c

Niezatapialny

Adam Scott wydaje się odporny na upływający czas. Mimo 44 lat wciąż zachwyca miliony fanów na całym świecie.

Adam Derek Scott urodził się 16 lutego 1980 roku w Adelajdzie, w Południowej Australii. Dzięki zakochanym w golfie rodzicom pierwsze kroki w tym sporcie stawiał jako czterolatek. Po kilku latach rodzina przeniosła się na Wschodnie Wybrzeże, do stanu Queensland, najpierw do metropolii Sunschine Coast, by po kilku latach osiąść w szóstym największym mieście Australii - Gold Coast, przyciągającym surferów z całego świata. Ojciec Adama, Phil, był członkiem australijskiego PGA i pierwszym dyrektorem pola Twin Waters, zaprojektowanego przez legendarnego Petera Thomsona – pięciokrotnego triumfatora The Open. Co zrozumiałe był pierwszym trenerem małego Adasia. Uczeń błyskawicznie przerósł mistrza, po raz pierwszy pokonując ojca w wieku 13 lat. Adam był dobry nie tylko w golfie - czegokolwiek spróbował, był w tym świetny, w krykiecie, tenisie czy futbolu. Od czasu przeprowadzki do mekki surferów oddawał się też pasji ujeżdżania słynnych australijskich fal.

Polski akcent

Naukę w szkole średniej rozpoczął w Southport School, spędzając tam pierwsze dwa lata, później stając się inspiracją do utworzenia tam odrębnej szkoły golfowej. Potem przeniósł się do Kooralbyn International School, znanej z doskonałego programu golfowego. Peter Claughton tak wspominał przyszłą gwiazdę golfa: - Wiedział wszystko o polach na świecie, wielkich graczach, zawodowcach i poczynaniach amatorów. Dokładnie planował treningi. Nie był dzieciakiem, który po prostu wybija piłki. Zawsze miał plan i pracował nad czymś konkretnym." Już wtedy był w kadrze narodowej. Jego największymi triumfami amatorskimi były dwa tytuły Australian Boys' Amateur, w latach 1997 i 1998. Po szkole średniej wyjechał do USA, gdzie rozpoczął naukę na Uniwersytecie Nevada w Las Vegas. W 2000 roku przeszedł na zawodowstwo, a rok później w Alfred Dunhill Championship w Johannesburgu dobył pierwsze zawodowe trofeum. Od tego czasu zwyciężał w ponad 30 turniejach, w tym czternastu PGA Tour i jedenastu European Tour, zawsze chętnie podróżując po całym świecie. Trofeów byłoby przynajmniej o jedno więcej, jednak powstrzymał go... Adrian Meronk, w grudniu 2022 roku wygrywając czwarty najstarszy turniej golfowy globu - Australian Open, grając z Adamem w rundzie finałowej, gdzie delikatnie go rozwałkował, pokonując wielkiego mistrza pięcioma strzałami. W 2004 roku Scott wygrał - często szumnie nazywany piątym turniejem wielkoszlemowym – THE PLAYERS Championship. Później musiał bardzo długo czekać na tego prawdziwego Szlema.

Butch, Scotty i Tiger

Kluczową postacią w jego karierze był słynny Butch Harmon. Jeszcze kiedy studiował w Las Vegas, tata zrozumiał potrzebę przekazania syna pod opiekę nowego trenera: - Podczas Amatorskich Mistrzostw USA w Pebble Beach w 1999 roku zrozumiałem, że nadszedł czas, żeby wycofać się z trenowania Adama – tak opisywał to Phil Scott. - Tydzień później przyjaciel umówił nas na spotkanie z Butchem Harmonem - wówczas trenerem Tigera Woodsa. Butch poprosił tam Adama, żeby ten uderzył kilka piłek. Po chwili obserwacji rzucił lakonicznie: „I like it". Tak właśnie to wszystko się zaczęło. Dla Scotta współpraca z Butchem oznaczała nie tylko opiekę najsłynniejszego trenera na świecie, ale też możliwość treningów z Tigerem. - Trzymaliśmy się razem – wspominał to Adam. - Na koniec dnia urządzaliśmy konkursy puttowania i chippowania.

Oglądając filmy z tamtych czasów, uderza niezwykłe podobieństwo zamachów Woodsa i Scotta. Wtedy byli przyjaciółmi. Po wielu latach sprawy skomplikowały się, kiedy po osobistych perturbacjach Woodsa jego wieloletni caddy, Steve Williams, rozpoczął współpracę ze Scottem. To już jednak zupełnie inna historia.

Przez łzy

Podczas Masters w 1996 roku 15-letni Adam płakał przed telewizorem. Jego idol i niewątpliwie najsłynniejszy australijski golfista w historii, roztrwonił w niedzielę aż sześciopunktową przewagę. Po szokującej rundzie 78, przegrał pięcioma „oczkami" z Nickiem Faldo. 16 lat później, podczas niedzielnej rundy 141 The Open, w Royal Lytham to Adam doświadczył podobnych emocji, w bardzo widowiskowy sposób trwoniąc zwycięstwo. Stojąc na osiemnastym greenie, potrząsnął głową i szepnął do siebie: „Wow". Pokonał go 42-letni Ernie Els, który tracił na półmetku ostatniego dnia sześć uderzeń do Scotta, a później wykręcił cztery uderzenia poniżej par. Kiedy Scott zaliczył birdie na czternastce, prowadził czterema uderzeniami przed Elsem. Zamiast pewnej wygranej zaliczył cztery kolejne bogeye, pieczętując jednopunktową przegraną oraz szansę na pierwszego Majora. - Nie potrafię usprawiedliwić tego co dzisiaj zrobiłem – tłumaczył zdruzgotany. - Zdaję sobie sprawę, że wypuściłem z rąk idealną okazję.

Kilka miesięcy później szczęście uśmiechnęło się do niego.

Zielona Marynarka

Po tak widowiskowej katastrofie pierwszy triumf wielkoszlemowy musiał być równie spektakularny. Trafiając na drugim dołku dogrywki ponad 4-metrowego putta na birdie, został pierwszym w historii Australijczykiem, który wygrał w Auguście. Kilkadziesiąt minut wcześniej też trafił długiego putta na osiemnastym greenie i wysforował się na jednopunktowe prowadzenie przed Argentyńczyka Angela Cabrerę. Wydawało się, że teraz się udało. Obserwujący z ostatniego tee całą sytuację Cabrera już wiedział, że aby po raz drugi założyć Zieloną Marynarkę, też potrzebuje birdie. Zagrał więc metr od flagi i doprowadził do dogrywki. Chwilę później obaj rywale na tym samym dołku lądowali za krótko, tuż przed greenem. Najpierw piłka Argentyńczyka otarła się o dołek, niemal do niego wpadając. Scott odpowiedział solidnym zagraniem pod sam dołek i pewnym remisem. Reszta jest historią.

W ślady rekina

Scott swój gigantyczny triumf zadedykował idolowi z lat młodości i przyjacielowi, Gregowi Normanowi, który w Masters był drugi… trzykrotnie. Norman nigdy nie wygrał w Auguście, a Scott odczarował klątwę. - Jeden człowiek zainspirował całą nację golfistów. Zawsze był dla mnie wspaniały i część tego zwycięstwa zdecydowanie należy do niego – składał hołd mentorowi. Sam „Great White Shark" był bardzo zdenerwowany oglądając niedzielny finał, a kiedy rozpoczęła się druga dziewiątka nie wytrzymał i poszedł do siłowni. Na koniec nie krył ekstazy, kiedy okazało się, że mylili się ci, którzy twierdzili, że Scott nie jest wystarczająco twardy na takie okazje i nigdy nie pozbiera się po Royal Lytham. - Myślę, że on wygra więcej Majorów niż którykolwiek Australijczyk. Zawsze bardzo w niego wierzyłem i teraz jestem bardzo dumny. Sam zdobył dwa Szlemy i… osiem drugich miejsc, w tym 4 razy dostawał się do dogrywki. Greg Norman, lata później zawiadujący LIV Golf, mimo usilnych prób i góry pieniędzy, w 2022 roku nie zdołał przeciągnąć Scotta do saudyjskiej ligi.

Oakmont

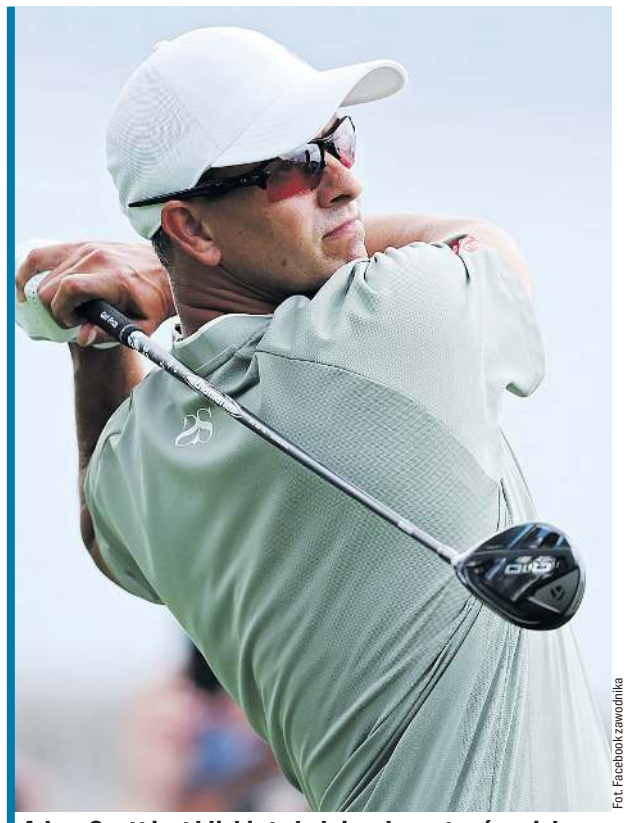
W 125. edycji U.S. Open Adam Scott grał w swoim 96. z rzędu turnieju wielkoszlemowym! Od The Open w 2001 roku nie odpuścił ani jednego z nich. To wyczyn niezwykły, najdłuższa passa wśród aktywnych zawodników, choć do rekordu Jacka Nicklausa wciąż brakuje mu czterech kolejnych występów. Imponującą serię rozpoczął w The Open Championship w Royal Lytham i od tego czasu kwalifikował się i grał w każdym kolejnym Majorze. Dwudziestokrotnie gościł w najlepszej dziesiątce, trzy razy był trzeci, dwa razy drugi, 23 razy nie przechodził cuta, raz wygrał.

W sobotę w Oakmont wykręcił fenomenalną rundę dnia 67, awansując na dzielone z J.J. Spaunem drugie miejsce. Był wtedy jedynym golfistą z trzema rundami na par lub lepszymi, przez dwa pierwsze dni notując 70 uderzeń. Wyobraźnia zaczynała pracować i rósł apetyt. Gdyby wygrał, zostałby najstarszym zwycięzcą U.S. Open od czasu Hale'a Irwina w 1990 roku. - To byłoby superspełnienie się - powiedział w sobotni wieczór. - Każdy tutaj ma swoją podróż. Stawianie się w takich pozycjach nie zdarza się po prostu przypadkiem.

Przerywana przez burzę niedzielna runda, rozgrywana w brutalnie trudnych warunkach, zupełnie nie poszła po jego myśli. 79 uderzeń, jeden skromny birdie, osiem bogeyów i double bogey zepchnęły go na dwunaste miejsce, 7 strzałów za zwycięzcą – J.J. Spaunem. Po 96 kolejnych występach wygląda na to, że przynajmniej dorzuci trzy kolejne Szlemy, śrubując swój własny rekord do 99. W lipcu zagra w The Open w Royal Portrush i już teraz zapewnił sobie miejsce w Masters i PGA Championship w 2026 roku.

Dla niegdyś najlepszego golfisty świata setka wydaje się na wyciągnięcie ręki.

Kasia Nieciak



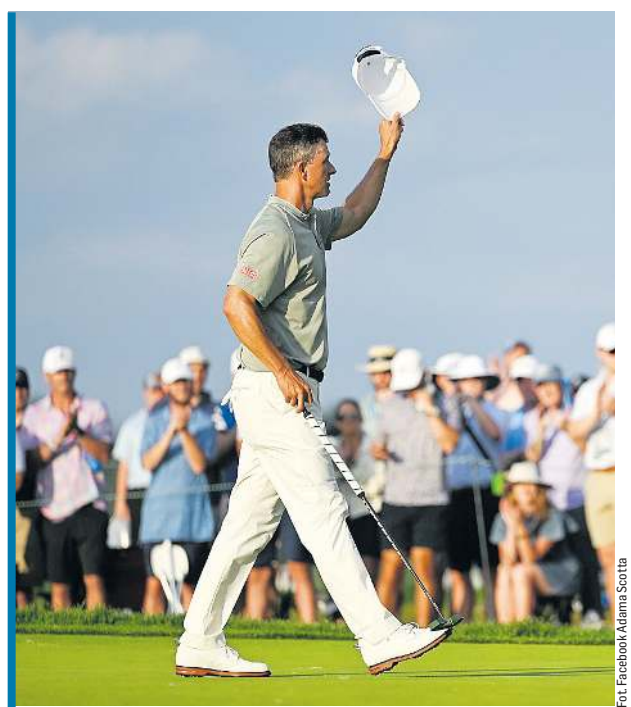
Fot. Facebook zawodnika

Adam Scott jest bliski stu kolejnych występów wielkoszlemowych.



Fot. Facebook Adama Scotta

125. edycja U.S. Open rozgrywana była w brutalnie trudnych warunkach.



Fot. Facebook Adama Scotta

Gracja w każdym calu.